Nr. 43 (1243). Warszawa, 9 (22) Października 1904 r. Rok XXIV.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

w Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Nowe rozporządzenie hakatystów.

Zajadły hakatyzm pruski wymierzył w ostatnich dwu latach tyle ciosów w stronę Polaków i żywiołu polskiego, że gdyby każdemu chceniu towarzyszyło spełnienie, wszystko to, co czuje tętno polskiej krwi w żyłach, śmiertelną bladością powlecby się musiało. Wszystkie te zamysły i zamachy prawodawcze niosą branym na cel — śmierć, śmierć narodową, najokrótniejszą ze wszystkich, bo niedostrzeganą, nieodczuwaną nawet, a samobójstwo z mordem zespalającą. Umiera się zawsze nietylko od zewnętrznych ciosów wroga, ale i z własnego znikczemnienia ducha. Przykład książąt śląskich i szlachty śląskiej daje tu przerażające, a majestatem prawdy podbijające świadectwo. I nieinaczej też dziać się musiało nad Łabą w X, XI aż do XIII w.: uciskani, zdradzani, mordowani, tracili zdolność do obrony, wolę życia odrębnego, samo poczucie ucisku, potem sumienie, zespalające z powszechnością, aż wreszcie wpadli w stan anorganiczny, w którym jak kupę piasku wicher ich porwał i wyrzucił na śmietnisko niemieckie.

Bez winy własnej nigdy się nie spełnia nad narodem ten wyrok straszliwy, który mu każe umierać. Nawet w najcięższej tyranii, na dnie ubezprawień, odzierających człowieka ze wszystkiego, do czego powołały go wrodzone siły i wrodzona energia, nawet w otchłani ustawicznych gróźb, trwóg, katuszy, znojów udaremnianych i tęsknot nieukojonych, — może być wina i jest odpowiedzialność za to życie, które przecież nie daje się, tak, jak fizyczne, wygnać z przybytku umysłów i dusz, a jeśli go opuści, to zawsze pod naciskiem zewnętrznym z wewnątrz przez samych żyjących wygnane. I dlatego im potężniejszy jest ten wiew sił wrogich po za wynaradawianem jestestwem na zagładę jego działających, tem bardziej w potęgę rosnąć powinna zbiorowa miłość samych siebie, życie jednego we wszystkich a wszystkich w jednym, tem czujniej stać trzeba na straży, tem łepiej wzrok na niebezpieczeństwo zaostrzać, a przedewszystkiem nieprzyjaciela widzieć nietylko po za sobą, ale i w sobie,—tego tępić, tamtego odpierać. Tylko wielka czułość sumienia, wzdrygającego się na wszelką zdrożność, tylko surowość dla siebie, uprawniająca do surowości dla innych, może w zagrożonem społeczeństwie utrzymać nietkniętą świadomość grozy, żądzę życia i zdolność do utrzymania go.

Niemcy ustami Bismarcka, naigrawając się szatańsko z uroczystych ślubów królów pruskich, rzucając je w piec, w którym dawno już spłonął i dowód najohydniejszego podstępu dziejowego, traktat z 29 marca 1790 r., prześladując język, nawet mowę ognisk domowych, gwałcąc konstytucyę prawami, jak uchwalone obecnie o parcelacyi i osadnictwie — mimo to wszystko jednak dotychczas zostawiali nietkniętą swobodę słowa publicystycznego. Jak z tej swobody korzystała prasa poznańska? Czy była strażnicą od niebezpieczeństw, sumieniem od przestępstw, światłem i orężem od walki, w którą życie całe jak jest, po za niezbędnemi zadaniami egoistycznemi jednostki i upragnionymi trudami kultury ogólnie-ludzkiej, zamienić się powinno? Nie. Z dziwną lekkomyślnością, jakby żyła na lekkim chlebie, ze spokojem regestratora wyciskającego pieczęć z datą pewną na dokumencie, zapisywała występki sprzedawczyków, którymi zaroiło się Poznańskie, gdy Bismarck ku zagładzie narodowości polskiej ufundował swą komisyę kolonizacyjną; nie czuła ich występności. A kiedy z innych stron podnosiły się głosy potępienia, ci stróże postawieni u wrót życia uciszali je sykiem wężowym: Nie wtrącajcie się do nas. Wara! Sami sobie poradzimy.

I poradzili. Przez dziesięć lat uprawiali kult wielkich panów i wielkopańskości, zdmuchiwali prochy i uciszali szmery i szepty, byle tylko wielka szlachta z historycznemi nazwiskami mogła bezkarnie trwonić uczciwość, rozum, zdrowie, majątki, wszelakie środki życia ogólnego, zmawiać się podstępnie na wyprzedawanie dóbr komisyi pruskiej, grać rolę patryotów w sejmach berlińskich, a pełnić funkcyę balastu narodowego na narodowej ziemi. Nie przeczymy, że polepszyło się wiele w prasie poznańskiej i pruskiej od lat prawie dziesięciu, mianowicie po słynnej mowie toruńskiej cesarza Wilhelma (22 września 1894 r.), której miody ślepym nawet wzrok przywrócić mogły. Ale zaniedbanie dawniejsze mści się na zabiegliwości obecnej. Zarazek pobłażliwości przyjął się i zrobił spustoszenie — w samej publicystyce: pożarł jej pół duszy, a z zostawioną drugą połową kazał prowadzić walkę, która potrzebuje dusz całych, przez zapał do najwyższej, indywidualnie możliwej podniesionych potęgi. Prasa zdrowa, jędrna, szczera, nie znarowiona połowicznością czucia, myślenia i mówienia, nie byłaby się dała podejść takiemu Bnińskiemu, nie miałaby litości dla szulerów w Pile, postawiłaby pod pręgierzem takich Kwileckich; za zadanie by sobie wzięła właśnie ściganie wielkich nazwisk gorejącą żagwią wielkich obowiązków. Jest już lepiej, ale

jest jeszcze źle. Powyrzucać dawne łachmany, pochwycić chorągiew z nowem zawołaniem, któreby szlachcica, pana i półpanka zrównywało z chłopem i mieszczaninem, we wspólne walki o życie: tego prasie poznańskiej potrzeba.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Działania zaczepne, rozpoczęte w przeszłym tygodniu sprawozdawczym (d. 9 b. m.) przez gen. Kuropatkina, w pierwszych czterech dniach boju (10—13) nie były dla oręża rosyjskiego pomyślne. Na całym rozciągu wojsk, przy nadzwyczajnej zaciętości walki, podobno większej, niż pod Liao-jangiem, na kilku punktach wojsko utraciło swe pozycye i ustąpić musiało, chociaż i teraz jeszcze zrana już wydawano rozkazy, aby wieczorem cofać się na stanowiska zgóry obrane. Pojedyncze oddziały utraciły działa (ok. 40) i nabojnice, zabrano im też jeńców. Dnia 14 zaczął się los odwracać od Japończyków. Potracili i oni działa (przeszło 20), musieli się cofnąć, a na zachodzie, pod Czantanem n. Hun-ho, nawet znaczniejsza siła, nieprawdopodobnie na całą brygadę oznaczana, srogiej doznała porażki. Walka trwała przez dalsze trzy dni, o czem dotychczas zatelegrafowano, i zapewne trwa jeszcze, co dopiero późniejsze przyniosą telegramy. Rosyanie, przedarłszy się wcześniej do Banjupudzy (Pan-juj-pu-tse), musieli ją też wkrótce opuścić; w żadnym bowiem telegramie niema już o niej wzmianki, a ważność stanowiska nie pozwalałaby o niem zamilczeć, gdyby je sobie wydzierano. Za to często wspominał telegraf o miejscowości Pensichu, bliżej Mukdenu, na północo-zachód od poprzedniej, w skalistej już dolinie rz. Sza-(ho).

Wódz rosyjski, występując zaczepnie, musiał przekroczyć tę rzekę, ale nie znając dobrze rozkładu sił japońskich, z początku użył sił zbyt słabych, przyczem bardzo mocne rezerwy — podobno aż sześć dywizyj — zadługo trzymał ok. Mukdenu, częścią nawet na północ od tego miasta. Przyczyniło się to do pierwiastkowych klęsk, a pozwoliło Japończykom wyjść szybko ze stanu zaskoczenia i ściągnąć siły z północy i wschodu bliżej Jantaju i rz. Tai-tsi-ho. Ale i w d. 9 b. m. nie zajmowali już i oni tych niebezpiecznych stanowisk, o których stale donoszono w drugiej połowie września, Kuroki mianowicie swoją wschodnią czyli prawą armią nie sięgał już wówczas aż do górnej Hun-ho: armia miała swój trzon w Jantaju. Dlatego walki toczyły się pomiędzy środkową Hun-ho, równoleżnikiem Jantaju, Sza-ho i górami nad równiną Hun-ho, z największem natężeniem przy drodze żelaznej i drodze mandaryńskiej z Liao-jangu do Mukdenu, oraz w wyższym biegu Sza-ho. Japończycy na słabe natarcie w górach odpowiedzieli mocnem i, ustawicznie postępując naprzód, dotarli do tej rzeki. Przybycie rezerw, zbicie się wojska w większą masę, wreszcie ustalenie planu odwróciło kartę, a trwałość tego stanu zależeć będzie nietyle od zdolności wodzów, męztwa żołnierzy, sprawności oficerów, od fizycznych wreszcie warunków działania, ile od znacznej przewagi jednej strony nad drugą pod względem liczebności żołnierza, zasobności w armaty i większej ich doniośłości i zdolności niszczenia.

Gen. Kuropatkin d. 9 b. m. posiadał siły już nader okazałe: 8 korpusów własnych i 9-ty Leniewicza, którego pochód na pomoc z pod Władywostoku dawno już zapowiadano. Dawałoby to według nadszczerbionego, bojowego etatu, po 25,000 korpus, 225,000, z czego strącić jeszcze potrzeba najskromniej jakie 10,000 na straty w bojach przeszłotygodniowych. U Japończyków doliczają się korespondenci tylko 15 dywizyj, co dawałoby tylko 180,000 żołn. Przybywają jednak ciągle pod Liao-jang posiłki, tak, iż można bez wielkiego błędu oznaczyć siły japońskie, po uwzględnieniu strat najświeższych, na jakie 190—200 tysięcy. Przewaga zatem w ludziach po stronie rosyjskiej dałaby się oznaczyć na jakie 20 tys.; zato znowu Japończycy mają liczniejszą artyleryę, chociaż niezawsze na górzystej widowni korzystać z tego będą mogli. Zdobycie przez Rosyan pozycyi aż pod Czantan nad Hun-ho sięgającej, uporczywa o nią przedtem walka— wskazują, że sztab japoński zrozumiał ważność boku zachodniego strategicznej figury zogniskowanej w Mukdenie i potwierdzają dawniejsze domniemania o ciągnieniu Japończyków prawem pobrzeżem wielkiego dopływu Liao-ho.

Flota baltycka jako „druga eskadra Oceanu Spokojnego“ wyruszyła była z Rewla już d. 14 b. m., ale było to tylko ćwiczenie się w odpływaniu. Musiała wypłynąć dopiero nazajutrz; d. 17 b. m. zrana była już na wodach duńskich (Langeland, dla zabrania węgli z 3 wielkich statków. Dowodzi nią admirał Rożdestwenskij. Przy największym pośpiechu podróż zabierze dni 50.

Portowi Artura przybywają wciąż nowi przeciwnicy i przeciwności. Japończycy wysadzili świeże wojsko i 27 wielkich dział oblężniczych. Gen. Stessel donosi, że żołnierz znużony, duch w nim jednak doskonały; ale i duch, jak amunicya, wyczerpuje się, a rzeczywiście w Porcie amunicyi tej jest już niewiele. Japończycy zdobyli znowu parę mniejszych obwarowań. Usadzili się teraz na wzięcie wielkiego Iteszanu od zachodu. Pociski ich uszkodziły „Retwizana“ i wznieciły pożar w mieście. Położenie było ciężkiem już wtedy, kiedy gen. Kuropatkin w odezwie swej (2 paźdz.) przyniesienie odsieczy wskazywał jako bezpośredni wojenny cel przedsiebranego na Japończyków natarcia.

Z Dalekiego Wschodu.

KLUCZ WSCHODU.

(Ciąg dalszy).

W razie nadużyć niezwykłych lub wielkiej srogości jakiego urzędnika stowarzyszenia pokrzywdzone urządzają *bezrobocie*. Znikają więc z okolicy kramarze wędrowni, kupcy zamykają sklepy lub woźnice (maphu) przestają wozić towary, wreszcie towarzystwa pogrzebowe nie chcą grzebać itd. Wzburzenie powszechne wzrasta i rząd zazwyczaj ustępuje, cofa wydane rozporządzenia lub usuwa do czasu niezręcznych zdzierców. Ale lud korejski, dotknięty dziwną niemocą państwową, nie umie nigdy wyzyskać swego zwycięztwa lub nawet go utrwalić... Po niejakim czasie wraca dawny porządek, a często nawet usunięty krzywdziciel... I znowu dzieją się haniebne nadużycia aż do nowego wybuchu... Inaczej zresztą i być nie może, gdyż całość społeczeństwa korejskiego tak odpowiada sobie we wszystkich swych częściach, że tylko jakiś potężny czynnik zewnętrzny może zmienić ten stosunek i wywieść lepsze siły narodu z błędnego koła urzędniczych sfer, pochłaniających całą inteligencyę, oraz braku zawodów niezależnych. Za jedną z przyczyn nieszczęść ludu korejskiego zupełnie słusznie uważają zdawien dawna szlachtę i urzędników.

Pierwotnie istniała tylko *szlachta*. Siedziała ona w miastach i twierdzach, skąd rządziła krajem w imieniu króla. Rozpadała się na *dwa działy* (jań-ban): jeden z pochodzenia wojenny zwał się *zachodnim* (sio-bań), drugi cywilny czyli *wschodni* (ton-bań), powstał z naznaczonych przez rząd wykształconych urzędników. Tak stały rzeczy w XIV stuleciu, w początkach panowania obecnej dynastyi. „Jań-bań“-stwo było dziedziczne. Początkowo przechodziło wyłącznie na dzieci *prawe*, ale

---

Knut Hamsun.

ARCYFILUT.

(Ciąg dalszy).

Grabarza to właściwie nic nie obchodziło, ale brał udział w poszukiwaniu dla samej sprawy. Zabraliśmy się znów do pracy wszyscy trzej. Wtem ujrzałem w rogu alei małą postać ludzką, dziewczynkę skuloną na ziemi, za dużym, polerowanym obeliskiem lekarza pułkowego, Witha. Siedziała tak skurczona, że szyja jej zupełnie znikła w ramionach.

Poznałem ją. Była to siostra zmarłej.

— Droga przyjaciółeczko, jakże można siedzieć tu o tak późnej godzinie? — pytałem.

Nie odpowiedziała, nie poruszyła się. Podniosłem ją, wziąłem jej torbę z książkami i prosiłem, aby poszła ze mną do domu.

— Hanusia nie chce, żebyś siedziała u niej tak długo — powiedziałem.

Więc poszła ze mną. Idąc, mówiłem dalej:

— A czy wiesz, że brzydka jakaś dziewczynka skradła kwiaty z jej grobu? Mała dziewczynka w żółtej sukience, możeś ją widziała? No, znajdziemy ją jeszcze, niema wątpliwości.

Ona szła obok mnie, nic nie mówiąc.

— A więc się panu udało! — odezwał się nagle głos grabarza. — Otóż mamy złodziejkę.

— Co?

— Przecież ją pan prowadzi za rękę.

Rozśmiałem się w głos.

— Mylicie się. To nie jest złodziejka. To siostrzyczka tej, którą dziś pochowano. Nazywa się Elina, znam ją dobrze.

Ale grabarz był pewny swego, stróż poznał ją również po czerwonej bliźnie, którą miała z jednej strony podbródka. Skradła kwiaty z grobu siostry, biedactwo, i nie mogła nawet znaleźć słowa na swoją obronę.

Proszę wziąć pod uwagę stan rzeczy: od dawna znałem obie siostry, mieszkaliśmy długo razem w jednej oficynie; często bawiły się pod mojemi oknami. Czasem pokłóciły się i pobiły. ale mądre były obie i wobec obcych trzymały się zawsze razem. Nikt ich tego nie uczył, matka bowiem była kobietą złych obyczajów i rzadko bywała w domu, a ojca — którego każda miała innego — nie znały nigdy. Dzieci te miały maleńką komórkę na mieszkanie, niewiększą od tej płyty grobowej, a że mój pokoik znajdował się naprzeciwko, mogłem je widzieć, stojąc przy oknie. Hanna była rodzajem opiekunki, o parę lat starsza, pod wielu względami miała rozsądek osoby dorosłej. Ona to dostawała skądsiś blaszane wiaderko, aby zrobić trochę wodzianki, a latem, gdy na podwórzu było gorąco, wpadała na pomysł przymocowania do okna starej gazety, osłaniającej cokolwiek przed palącem słońcem. Często przesłuchiwała siostrę lekcyi, zanim ta poszła do szkoły. Hanna była dzieckiem nad wiek rozwiniętem i żyła krótko.

— Przetrząśnijmy torbę! — odezwał się grabarz.

I rzeczywiście — w torbie leżały kwiaty. Poznałem swoje własne.

Cóż było mówić? A oto ta mała zbrodniarka stała, patrząc na nas z zaciętym uporem. Usiłowałem ją wzruszyć i począłem rozpytywać, ale milczała. Grabarz wymie-

z czasem ilość nieprawych dzieci szlacheckich wzrosła do tego stopnia, że także utworzyły one znaczną siłę polityczną i wywalczyły sobie takie same prawa. Ukaz w r. 1857 zrównał zupełnie prawych i nieprawych potomków szlachty. Jań-bań'owie tworzyli potężne rody, podtrzymujące się wzajem w potrzebie i w walce o wpływy i posady. Ród Kim trząsł Koreą za trzech królów w ubiegłem stuleciu, ród Min, z którego pochodziła zamordowana królowa, posiadał z górą 1,000 urzędów. Jan-baniowie korzystali z wielu przywilejów. Przedewszystkiem nie płacili podatków i nie podlegali powinności służby wojskowej. Następnie osoba ich była nietykalna, nawet wejście na dziedziniec szlacheckiego domu bez zezwolenia gospodarza uważane było za przestępstwo. Jedynie kobiety wszystkich stanów miały tam dostęp swobodny. Jańbań mógł być aresztowany tylko za zezwoleniem królewskiem, jedynie w razie występku, pociągającego za sobą karę śmierci (zdrada stanu), władze miejscowe miały prawo zamknąć jań-bania w więzieniu, następnie donieść o tem królowi i prosić go o pozwolenie.

W sądzie jań-bań dawał odpowiedzi stojący, podczas gdy świadkowie lub obwinieni innych stanów musieli klęczeć. Jańbań zajmował w hotelu najlepsze miejsce [1]; na przejezdnego jań-bania nie wolno było patrzeć natrętnie, a tembardziej zaczepiać go rozmową. Człowiek z podrzędniejszego stanu powinien był odpowiadać mu z głębokim szacunkiem. Niewolno było palić w obecności jań-bania. Człek prosty, jadąc konno, gdy spotykał jań-bania lub przejeżdżał mimo jego domu, obowiązany był zsiąść z konia i minąć go piechotą. Za niespełnienie któregokolwiek z tych prawideł pachołkowie jań-bania karali doraźnie krnąbrnych. Jań baniom towarzyszyła w drodze świta, której ilość odpowiadała ich stanowisku i zamożności. Masztalerz prowadził za cugle wierzchowca jań-bania, reszta szła wokoło piechotą, cały pochód poruszał się wolno. Nie widziałem już takich pochodów nigdzie, prócz w Seulu, tu przed bramą pałacu cesarskiego przejeżdżali jeszcze wspaniali, starzy dworacy, generałowie i wyżsi urzędnicy, konno, na białych wierzchowcach, osiodlanych w czerwone siodła, pod czerwonymi i żółtymi parasolami, w otoczeniu licznej, bogato ubranej świty.

Pozbawiały szlachectwa: wyrok sądowy, małżeństwo nieodpowiednie, zajęcie niestosowne. Za udział w buncie lub spisku przeciw królowi tracił prawa szlacheckie nietylko skazaniec, lecz i dzieci jego i krewni do czwartego nieraz stopnia. Małżeństwo z wdową lub niewolnicą pozbawiało szlachectwa dzieci spłodzone z tego małżeństwa. Wreszcie zajęcie handlem albo rzemiosłem groziło jego utratą, gdyż jańbań mógł tylko trudnić się rolnictwem (nie osobiście, lecz za pomocą niewolników), służyć jako wojskowy lub urzędnik. Pod tym względem obyczaje i prawodawstwo szlachty korejskiej nie różniło się zbytnio od podobnych urządzeń innych ludów i w innych częściach świata. Wyjątek przedstawiały jedynie wdowy, dzięki wschodniemu poglądowi na nie, jako własność nieboszczyka. Ponadto zawierały jednak szlacheckie statuty korejskie takie paragrafy, których nie miał żaden inny naród, prócz Rosyi [1]). Przedewszystkiem przyznawały one wszelkie *przywileje szlacheckie urzędnikom*, następnie *obowiązywały jań-baniów do służby państwowej*. Rodziny, które w ciągu paru pokoleń nie piastowały urzędu, traciły przywileje [2]). Wskutek tego z biegiem czasu szlachta i biurokracya zlały się w jedno. Jań-baniowie opuścili gospodarstwa wiejskie i przenieśli się gromadnie do miast i stolicy. Ziemia przeszła stopniowo na własność albo w wieczystą dzierżawę chłopów (sian-nom) i naród koreiski rozpadł się na dwa nierówne odłamy: rządzonych i rządzących, pracujących i piszących, opodatkowanych i poborców. Stan średni (cźjun-in albo cźjun-sarami) był zawsze bardzo niewpływowy i nieliczny; należały doń rodziny, uprawiające zwykle dziedzicznie zawody wyzwolone: lekarze, astrologowie i astronomowie artyści, prawnicy, rachmistrze (rządowi), nadzorcy zegarów (państwowych), archiwiści, wreszcie drobni urzędnicy prowincyonalni: pisarze, sekretarze itd. Fałszywa zasada, przeszczepiona z Chin do Korei, wyniszczonej morderczemi wojnami XIV stulecia i najściem Mongołów, wydała wysoce trujące owoce. Oderwani od związku z ludem, pozbawieni możności innej pracy, prócz biurowej, jań-baniowie, aby nie umrzeć z głodu, musieli dążyć nieustannie do zwiększenia ilości posad urzędniczych i swoich dochodów. Walka o nie rozmaitych rodów jań-bańskich raz wraz wtrącała państwo w odmęt intryg i zamieszek. Bezrząd, nadużycia, gwałty wżerały się coraz głębiej w obyczaje sfer rządzących. Zwycięzca spieszył utrwalić swe położenie za jaką bądź cenę i skorzystać ze sposobności, aby napełnić puste kieszenie swoje i swoich popleczników. Najuczciwszy człowiek musiał ukrywać ich nadużycia, gdyż bez ich pomocy zostawał natychmiast zrzucony z posady, wtrącony nieraz do więzienia lub wygnany daleko... przez silniejszych i bezwzględniejszych przeciwników. Ten zwyczaj popierania swoich oraz solidarność *wszystkich* urzędników państwa przeciw innym stanom nigdzie może tak jaskrawo nie występuje, jak w Korei.

„Według obyczajów korejskich, każdy jań-bań, który otrzymał miejsce, powinien nietylko utrzymywać rodziców i bliskich krewnych, lecz obowiązany jest pomagać nawet dalekim powinowatym. To już nie obyczaj, ale obowiązek, którego zaniedbanie ciężko dadzą mu uczuć ci sami krewni. Nie należy się dziwić, że wskutek tego urzędnik, dla zadowolenia wymagań otaczających, musi brać łapówki i wybierać od ludu nieprawne pobory [1]). Ma prócz tego zwykle znaczne długi, które zaciągnął na naukę i dla zdania egzaminu, co też drogo kosztuje. Musiał dobrze zapłacić wyższym urzędnikom za nominacyę. Nadomiar nie jest pewny swego stanowiska, stara się więc szybko i z procentem powetować swe straty. Wśród większości jań-baniów panuje niedostatek, niemal nędza, gdyż liczba ich wzrasta o wiele szybciej, niż miejsca biurowe. Według Lubiencowa, ilość szlachty wynosi trzecią część ludności półwyspu [2]). Obawa utraty przywilejów na wieczne czasy i zejścia do warstw uciemiężonych wstrzymuje ich od zajęcia się jakąkolwiek pracą godziwą, każdy z nich żywi nadzieję, że wcześniej czy później los mu się uśmiechnie i da możność powetowania sobie za głód, chłód, poniżenie, zimy spędzone bez ognia i przytułku, drwiące uśmiechy zamożniejszych nieraz kupców i chłopów. Ciekawa anegdotka krąży z tego powodu wśród wieśniaków korejskich. „Pewnego razu jań-bań przechadzał się po wsi. Gdy mijał wieczerzających wieśniaków, ci powitali go zwykłem: „Czy pan jadł już?“ — „Nie, nie jadłem“ — odpowiedział. Wtedy oni grzecz-

[1]) J. Bishop twierdzi, że jań-baniowie nigdy nie płacili za postój w hotelach.

[1]) Tabela o rangach Piotra Wielkiego i ukazy o służbie obowiązkowej szlachty tegoż Cesarza oraz Katarzyny II. Znalazłem w obyczajach oraz rozwoju korejskiej biurokracyi dużo rażących podobieństw do biurokracyj europejskich, godnych bliższej uwagi socyologa.

[2]) „Opis Korei,“ bz. I, str. 350 i 356.

[1]) Tamże, str. 359.

[2]) Tamże, str. 356.

---

nił nareszcie policyę i wziął dziewczynkę z sobą.

U bramy zrozumiała nagle, co ją czeka i odezwała się:

— Nie — gdzie mnie prowadzicie?

Grabarz odparł:

— Na policyę!

— Nie ukradłam! — zawołała.

Nie ukradła? Przecież miała je w torbie, widzieliśmy je na własne oczy. A ona przestraszona wciąż zapewniała, że nie ukradła.

W bramie uczepiła się rękami klamki tak, że rozerwał się jej rękaw i ukazało jej chude ramię.

Musiała jednak iść na policyę; poszedłem z nią. Zadano jej kilka pytań, ale, o ile pamiętam, nie nałożono żadnej kary. Od tego czasu nie widziałem jej, gdyż wyjechałem zaraz i nie było mnie lat dziesięć.

Teraz jednak rozumiem rzecz całą. Źle się stało. Naturalnie, ona nie ukradła kwiatów, ale gdyby nawet? Pytam, dlaczegóż nie miałaby tego uczynić? Jakkolwiek źle postąpiliśmy z nią, nikt nas nie może potępić, schwytaliśmy ją na gorącym uczynku i oddali pod sąd. Jak powiedziałem panu, widziałem się z Eliną po powrocie i mogę pana do niej zaprowadzić.

Umilkł na chwilę.

— Jeżeli pan potrafi zrozumieć to, co panu opowiem, to proszę posłuchać:

— Gdy umrę, powiada chore dziecko, gdy umrę, pewnie przyślą mi kwiaty, może nawet dużo kwiatów, bo nauczycielka przyśle bukiet, a dobra pani Bendiche przyśle może cały wieniec.

Ta chora mądra była, jak dojrzały człowiek, żyła za prędko, a choroba w nadzwyczajny sposób zaostrzyła jej bystrość. Gdy ona mówiła, słuchała jej młodsza siostra i usiłowała zrozumieć. Mieszkały same, matki nigdy nie było w domu, od czasu do czasu przynosiły od pani Bendiche trochę strawy, która chroniła je od śmierci głodowej. Od dawna siostry już się nie kłóciły, dawno już dawno temu, jak się biły, a ich gniewy podczas zabawy poszły w zapomnienie.

A kwiaty, chociaż piękne, także więdną — mówi chora. — A zwiędłe kwiaty nacóż trzymać na grobie? Zmarły widzieć ich nie może, a ciepła także nie dodają wcale. Czy też Elina pamięta trzewiki, które widziały raz w bazarze? Te były ciepłe!

Elina pamiętała owe trzewiki. I na dowód opisała je siostrze dokładnie. Do zimy już niedaleko... od okna wieje porządnie i ścierki marzną na gwoździu. Elinie przydałaby się taka para trzewików.

Tak, może wziąć jej kwiaty i sprzedać. Może to zrobić. Tyle ludzi spaceruje w niedzielę po mieście, oni chętnie kupią kwiaty. Jadą na wieś z kwiatami w dziurce od guzika, nieraz widziały przecież panów, jadących dorożką z kwiatkiem przy tużurku. Ach, kupują kwiaty.

Elina zapytała, czy nie mogłaby sobie kupić małego kapelusza?

Zapewne, jeżeli zostanie co pieniędzy. Ale najpierw musi sobie kupić trzewiki.

Uplanowały więc; nikogo to nie obchodziło, same dzieci plan ułożyły. Elina miała uważać, aby zabrać kwiaty tego samego wieczoru, zanim zwiędną.

Ile lat mogła mieć chora? Dwanaście, może trzynaście. Niezawsze wiek znaczy. Miałem siostrę, która się uczyła po grecku, chociaż była jeszcze bardzo mała.

Ale nie udało się Elinie. Nie wymierzono jej żadnej kary, policya ją tylko trochę nastraszyła i na tem koniec. Poczem zajęła się nią nauczycielka. Zająć się dzieckiem, to znaczy mieć ją na oku, wystawiać na próby, śledzić ukradkiem. Wzywa się ją na

nie zaprosili go do swego stołu; ale on obraził się strasznie, zelżył i zbił wieśniaków. Minął czas jakiś i znowu jań-bań przechadzał się po wsi, znowu mijał wieczerzających wieśniaków i ci powitali go zwykłem: „Czy pan jadłeś już?“ — „Nie, nie jadłem!“ odrzekł. Wieśniacy tym razem jednak zachowali głębokie milczenie. „Czemu nie zapraszacie mię?“ — spytał on. — „Nie śmiemy traktować waszej dostojności, jak naszego towarzysza.“ — Ale jań-bań spokojnie zapytał: „Co wy jecie?— „Grubo-ziarniste proso.“ — „Czyż tak?!.. Czyż bywa proso do tego stopnia gruboziarnistem? Spróbuję, co to za dziwne proso!..“ Siadł z ludźmi i jadł po ludzku“ [1]).

(C. d. n.)

W. Sieroszewski.

[1]) Korean Repository, 1898 r., str. 18.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Jasiek i Izadora.

Między niezdatnymi do walki żołnierzami powrócił również z placu boju syn parobka mojej siostry, Jasiek Gwizdał bez ręki. Na wsi ledwie można dać sobie radę z dwiema rękami, więc przysłano kalekę do miasta, do mnie.

— Co ja z tobą pocznę, mój Jaśku? — mówiłem zakłopotany.

— Możeby do jakiego podawania... wtrącił nieśmiało.

— U nas tu żadnego podawania niema... Nie mogę nawet teraz nic zebrać dla ciebie między znajomymi, bo, jak na złość, przyjechała Izadora Duncan...

— Kto, proszę wielmożnego pana?

— Taka panna, co boso tańczy i za to każe sobie płacić.

Uprzedzam, że mało przestaję z ludem, więc nie umiem z nim rozprawiać i nie wiem, co go obchodzi. Dlatego powiedziałem Jaśkowi o pannie Izadorze Duncan. On na mnie spojrzał uważnie, chwilę pomyślał, wreszcie rzekł z bolesnym uśmiechem:

— Moja bieda na cóś się przydała — dla wesołości wielmożnego pana. Niech będzie pochwalony...

Skierował się ku drzwiom.

— Ależ Jaśku, nie odchodź. Pomyślemy jeszcze...

— Ja już sam pomyślałem. Jak się żadna robota nie znajdzie, poproszę hycla, żeby mi odrąbał drugą rękę. Wtedy albo wezmą do szpitala, albo dadzą miejsce pod kościołem.

— No, tak źle nie będzie. Przyjdź do mnie za kilka dni. Albo jakieś zajęcie, albo parę groszy ci zdobędę.

O zajęciu dla kaleki nikt nie chciał gadać.

„My nie mamy roboty dla ludzi, którzy pracują czterema rękami“ — powtarzano mi.

Należało kwestować. Ale znowu ktoś ofuknął mnie:

— Człowieku, co ty wyjeżdżasz z jakimś obciętym Jaśkiem wtedy, kiedy do Warszawy przyjeżdża Izadora Duncan! Czy wiesz, ile trzeba jej zapłacić za jeden wieczór? Tysiące rubli...

— Trzeba? — zapytałem. — Kto zmusza?

— Obowiązki względem europeizmu. Z oświeconych narodów cywilizowanego świata tylko my nie widzieliśmy, jak ona...

— „Traca swemi stopami szczyty ideałów...

— A! pojmujesz — i pytasz się?

— Pojmuję, że ja temu nie zapobiegnę, ażeby kilkaset a może tysiące moich rodaków i rodaczek zgłupiało dla jakiejś humbugistki, która tańczy sonaty i wmówiła w gawiedź, że wszelkie uczucia można wyrażać nogami. O tem jestem przekonany, jak również o tem, że Filharmonia będzie dla wszelkich zagranicznych kuglarzów sztuki stałą pompą do wysysania u nas pieniędzy nawet wtedy, kiedy nas otoczy nędza i niedola, kiedy tłumy nie będą miały pracy, kiedy gromady kałek powrócą z wojny...

— Ależ dosyć, dosyć tego dantyzmu. Zresztą dam ci radę. Podobno Izadora Duncan jest bardzo miłosierną. Tańczyć na twojego Jaśka nie będzie, ale zaręczam, że w niewielkiem kółku zrobiłaby na jego benefis kilka ruchów bosą nogą, za co by zebrała kilkadziesiąt rubli. Idź do niej.

Kto wie, czy to kiedyś nie będzie jedyny sposób „zaspakajania potrzeb społecznych.“

Go—on.

Listy z Niemiec.

Kilka dni temu ogłoszono niemiecką statystykę kryminalną za rok 1902. Za zbrodnie i przestępstwa skazano w ciągu roku w całem państwie niemieckiem 511,748 osób, czyli przy 57 milionach ludności — na 111 osób jeden wyrok. Ciekawem jest rozejrzenie się bliższe w statystyce najważniejszych prowincyj i państw. Ukazuje się następujący obrazek:

	[illegible]	skazanych	1 skaz. na	
Prusy Wschodnie	1,996,146	22,336	89.2	mieszk.
Prusy Zachodnie	1,563,658	18.156	86.1	„
Ks. Poznańskie	2,887,275	22,077	85.0	„
Saksonia	2,832,616	23,074	122.7	„
Nadrenia	5.759,798	51 870	110 0	„
Król. Bawaryi	6,176,057	67,636	91.3	„
„ Saskie	4,202.266	30.067	139.7	„
Miasto Berlin	1,888,848	22,819	82 7	„
Państwo Hamburg	768,349	9.498	80.9	„
Brandenburgia	3,108.554	26,928	115.4	„

Wyodrębniwszy Berlin i Hamburg, jako miasta olbrzymie, w których zbierają się szumowiny społeczeństwa i zbrodniarze zawodowi, wyniki statystyczne są następujące: Nakorzystniej przedstawiają się pod względem kryminalnym okolice z ludnością ewangelicką — najgorzej katolickie — Prusy Zachodnie, Poznańskie i nawskroś katolicka Bawarya. Po za tem ciekawe jest zestawienie następujące: podczas ostatnich wyborów do parlamentu na kandydatów partyi społecznej w najgorzej stojących pod względem kryminalnym prowincyach oddano głosów: w Prusach Zachodnich 8,1%, w Poznańskiem 2,7%, w Bawaryi 21,7%, natomiast, w tych, które posiadają dobrą względnie cyfrę kryminalną: w prowincyi saksońskiej 39,3%, w prowincyi brandenburskiej 43,1%, w Królestwie Saskiem 58,8% wszystkich głosów. Wpływ kulturalny organizacyi społecznych uwydatnia się jeszcze silniej przy zestawieniu ilości zbrodni gwałtownych, a więc: groźby, zbrodnie przeciwko obyczajności, morderstwa, pokaleczenie, rabunek, podpalenie. Za wymione zbrodnie i przestępstwa skazano w roku 1902 w Niemczech 148,151 osób, czyli jeden wyrok na 384 osób. W wymienionych 10 okolicach stosunek jest następujący:

	skazanych	1 skazany na	
Prusy Wschodnie	68,17	292	mieszkańców
„ Zachodnie	5,208	300	„
Poznańskie	6,695	281	„
Saksonia	6,038	[illegible]	„
Nadrenia	16,774	343	„
Król. Bawarskie	24.048	256	„
„ Saskie	5,370	791	„
Miasto Berlin	3.630	520	„
Państwo Hamburg	1,684	456	„
Brandenburgia	7,490	415	„

A więc stosunkowo najwięcej mamy gwałtów w okolicach, w których wpływ klerykalny jest znaczny, najmniej tam,

---

przerwach: Elinko, zaczekaj, chciałabym pomówić z tobą! — Napomina się ją dobrotliwie, lecz stanowczo, przypomina nie w porę o wypadku, przykazuje błagać Boga o przebaczenie...

Wtem zachodzi w niej zmiana.

Elina tępieje, przychodzi nieumyta, zapomina książek w domu. Podejrzewana, ścigana badawczem spojrzeniem, nabiera zwyczaju ukrywania się przed wzrokiem nauczycielki, unika spoglądania ludziom w oczy. Przyzwyczaja się rzucać spojrzenia ukośne, co nadaje jej wyraz lekkomyślny. Wreszcie nadchodzi dzień jej bierzmowania. Ksiądz daje jej traktat o grzechu przeciw jednemu z przykazań — cała dzielnica wyraża swoje zdanie o jej przyszłości. Wyprowadza się więc z tej dzielnicy, z tej izdebki.

Słońce świeci nad miastem, ludzie roją się po ulicach z kwiatami w butonierkach; ona sama wyjeżdża też na przechadzkę za-miejską...

Spotkałem ją tej nocy. Stała we drzwiach i szeptała coś do mnie. Słyszałem jej głos i poznałem czerwoną bliznę. Ale Boże, jak utyła!

— Proszę wejść, to ja — odezwała się.

— Dobrze, jestem i ja — odpowiedziałem. Jakże wyrosłaś, Elino!

— Wyrosłam? Cóż to za gadanie? Niema czasu na głupstwa. Skoro nie chcę wejść, lepiej tu nie stać i nie odstraszać innych.

Wymieniłem nazwisko, przypomniałem jej podwórze, małą Hanię, wszystko, co tylko wiedziałem. Pozwól mi wejść i porozmawiać z sobą — dodałem. Gdyśmy weszli, zapytała:

— Funduje pan co do picia?

— Gdybyż to i Hanna była tu znami! Siedzielibyśmy sobie tak we troje i gwarzyli o tem i o owem.

Elina roześmiała się w głos.

— Co mi tam pan plecie! Zdziecinniał pan, czy co.

— Zapomniała pani już o Hannie? — zapytałem.

Splunęła z gniewem.

— Hanna i Hanna! Cóż to? uważam ją wciąż za dziecko?... Z Hanną to dawna historya, co to za bzdurstwa. Czy przynieść coś do picia?

— Proszę.

Wstała i wyszła.

Słyszałem dookoła w przeległych pokojach głosy, huk wyciąganych korków, klątwy, lekkie krzyki. Drzwi otwierano i zamykano; tu i owdzie wzywano z sieni posługaczkę i dawano jej jakieś polecenia.

Po chwili wróciła Elina. Chciała siąść u mnie na kolanach — zapaliła sobie papierosa.

— Dlaczego nie mogę siąść na twoich kolanach? — zapytała.

— Bo nie tego chcę od pani — rzekłem.

— To niech pan zapłaci za wino i pójdzie sobie.

Na to ja:

— Proszę usiąść i pogawędzimy trochę. Naturalnie, że odszkodowania za czas stracony może pani być pewną. — I dałem jej trochę monety, nie liczyłem, ale było tego wcale sporo.

(D. n.).

Z norweskiego przeł. *J. Klemensiewiczowa.*

[illegible] silne organizacyę robotnicze.

Mówiąc o statystyce kryminalnej, trzeba też nadmienić, że od pewnego czasu odbywają się posiedzenia komisyi rządowej w celu przygotowania reformy prawa karnego. Kodeks karny musi uledz zasadniczej zmianie. Reformy kardynalne i w procedurze karnej są potrzebne. Konieczność tego bardzo dobitnie wykazały ostatnie procesy. Niezbędnem jest zaprowadzenie apelacyi w sprawach karnych, której dzisiaj nie ma. Niezbędnem zniesienie monopolu prokuratoryi przy prowadzeniu śledztwa i dopuszczenie adwokatów do współdziałania w dochodzeniu śledczem. Dzisiaj adwokat nie ma prawa zajrzeć do akt sądowych przed zakończeniem śledztwa. Skutek jest taki: stwarza się zupełną budowę oskarżenia, często mylną i wyznacza dzień głównej rozprawy; obrona nie ma wtedy ani czasu, ani sposobności obalenia dowodów, zestawionych przez prokuratoryę, która zna akta i sprawę nieraz od kilku miesięcy, a obrona ledwo od kilku dni. W olbrzymich procesach ostatnich miesięcy udowodniono wielokrotnie, że gdyby obrońcy mieli prawo współdziałania w śledztwie, oskarżenie pozostałoby w biurku prokuratora. Często też świadkowie czynią na śledztwie zeznania, których potem, pod naciskiem pytań adwokatów i oskarżonego na publicznej rozprawie nie umieją podtrzymać, nie mają jednak wyjścia, gdyż już podczas śledztwa zostali zaprzysiężeni. Oto kilka tylko zasadniczych nienormalności w niemieckiej procedurze karnej. Dla ludności polskiej powstają przytem i inne kwestye. Niemiecka „konstytucya sądowa“ oświadcza: „językiem sądowym jest język niemiecki“ i dopuszcza tłomaczów sądowych tylko w tym razie, gdy oskarżony lub świadek zaznacza wyraźnie, że nie włada dostatecznie językiem niemieckim. Trudno opisać, jaka krzywda dzieje się pod tym względem ludności polskiej przed sądem. Sędzia zwykle nie rozumie po polsku. Zjawia się oskarżony lub świadek: „Wie heissen Sie?“ (Jak się pan nazywa?) — brzmi pierwsze pytanie. Na odpowiedź: „Proszę po polsku!“ sędzia zwraca się do stojącego przed nim z napomnieniem, że przecież tyle po niemiecku rozumie, aby tutaj zeznawać, żeby spróbował itd. Nieraz to napomnienie bywa udzielane w formie nadzwyczaj ostrej, głosem krzykliwym, w połączeniu z groźbą, a zwykle zaczyna się od słów: „Przecie pan chodziłeś do szkoły niemieckiej! Nie służyłeś pan w wojsku?“ Często grożą natychmiastowem aresztowaniem na 3 dni za „swawolę,“ gdy obecny przypadkowo żandarm, policyant lub inny urzędnik potwierdzi, że wahający się rozumie dostatecznie po niemiecku. Ten wówczas bardzo często ulega i zeznaje po niemiecku, koślawiąc język w niemożliwy sposób. Widać, że nie umie się wyrazić, że mu słów brak aby wypowiedzieć to, co ma na sumieniu, że zeznanie nie oddaje myśli—lecz cóż robić: „die Gerichtssprache ist die deutsche“ (językiem sądowym jest niemiecki). Skutki tego systemu barbarzyńskiego są straszne: oskarżony Polak nie może się skutecznie bronić, nie rozumie dobrze często równie koślawych, niemieckich zeznań świadków, nie ma dość wyrobienia językowego by stawiać im pytania, które sobie ułożył, by wypowiedzieć skutecznie to, czem się chciał bronić. A sędzia krzyczy, gdy mu się wymknie niestosowne słowo, gdy powtórzy jeszcze raz, co już powiedział. Klasowość państwa niemieckiego wykopała rowy pomiędzy sądownictwem a ludem. Niemiecka klasa robotnicza nie ma najmniejszego zaufania do niemieckiego sądownictwa. Robotnik niemiecki, wracając z rozprawy sądowej, nie wie nieraz, za co go skazano: krzyczeli na niego, chciał się bronić, powiedzieli mu, żeby się nie powtarzał, żeby mówił do rzeczy i zasądzili go; robotnik niemiecki ma to przekonanie, że sądownictwo dzisiejsze jest instytucyą klasową, wrogą dla warstw pracujących i ich dążeń. Ale pomiędzy sądownictwem niemieckiem a ludem polskim — to już nie rowy legły, lecz przepaści. Wyjaśniliśmy położenia oskarżonego, który nie rozumiejąc po niemiecku, da się nakłonić do zeznawania w tym języku. O wiele gorzej jest jeszcze ze świadkiem: jedno nieostrożne słowo, źle po niemiecku użyte, może spowodować nowy, groźniejszy proces o krzywoprzysięstwo. W licznych wypadkach, gdy oskarżony lub świadek oświadcza kategorycznie, że po niemiecku nie umie, przywołują tłomacza sądowego do pomocy. I wtedy kierownikiem rozprawy jest *de facto* nie przewodniczący, lecz tłomacz. Urzędnicy ci zwykle nie znają dostatecznie języka polskiego. Tłomaczą na niemiecki i na polski w sposób wprost niemożliwy. Nie umiejąc uchwycić dłuższego zeznania, połowę opuszczają. Zdarzyło się w słynnym procesie o rozruchy w Hucie Laury, że zeznanie żandarma, opowiadającego półtory godziny, zostało przetłomaczone w 5 minut. Bywało podczas procesów politycznych, że oskarżeni redaktorzy polscy wykazywali liczne błędy i braki tłomaczenia sądowego. Nie można jednak żądać, by prostak, stawiony przed sądem, mógł to zrobić. Znając dokładnie te stosunki, twierdzę stanowczo, że wśród niesprawiedliwych i błędnych wyroków, wydawanych przez sądy pruskie, jest bardzo wiele takich, które zostały spowodowane powyżej naszkicowanym systemem sądowym w zastosowaniu do ludności polskiej. Stosunki te podczas śledztwa występują jeszcze niekorzystniej, niż na głównej rozprawie. Wszystkie akta, a szczególniej akta oskarzenia, są pisane wyłącznie po niemiecku. Oskarżony, niezamknięty w więzieniu śledczem, może ostatecznie pójść do znajomego i poprosić go o przetłomaczenie przysłanych papierów. Osadzony w areszcie śledczym możliwości tej nie ma. Dostaje akt oskarżenia i nie wie, o co go obwiniają. Niema przepisu, któryby zmuszał urzędników więziennych lub tłomacza sądowego do przetłomaczenia takiego dokumentu więźniowi śledczemu, który go nie rozumie. I przychodzi na rozprawę sądową nie wiedząc, czego od niego żądają. Przy reformie procedury karnej trzeba będzie pomyśleć o reformie przepisów językowych. Z całą stanowczością należy się domagać zniesienia niesłychanej krzywdy na tem polu.

J. K.

Międzynarodowa ochrona pracy.

Swoim czasie pisaliśmy w *Prawdzie* o powstaniu i pierwszych pracach międzynarodowego związku ochronnego prawodawstwa pracy. W końcu z. m. odbył się w Bazylei, siedzibie stałego, centralnego biura tego związku, nowy, trzeci już zjazd jego, który dostarczył sporo ciekawego materyału.

Związek składa się z sekcyj krajowych, istniejących w Niemczech, Austryi, Francyi, Włoszech, Holandyi, Belgii i Szwajcaryi; w Anglii i Rumunii właśnie się sekcye zakładają; w Stan. Zjednoczonych wprawdzie sekcyi niema, ale istnieje zjednoczenie prezesów biur pracy poszczególnych stanów, które znajduje się w ciągłych stosunkach ze związkiem. Na wniosek prof. Jay'a z Paryża polecono biurom robić usilne starania w celu założenia sekcyi związku ochrony pracy w krajach skandynawskich, pirenejskich i w Rosyi *). Ale oprócz delegatów sekcyj wzięli udział w zjeździe oficyalni przedstawiciele rządów, a mianowicie tych siedmiu państw, w których istnieją sekcye, będące wprawdzie stowarzyszeniami prywatnemi, ale wywierające pewien wpływ na rządy, oraz Węgier, Luksemburga, Norwegii i — „Stolicy Apostolskiej.“ Papież, wysyłając na te zjazdy hr. Soderiniego, osiąga podwójny cel: cieszy się złudzeniem równouprawnienia z państwami świeckiemi, którego mu na konferencyi haskiej tak okrutnie odmówiono, i — osłania tanim sposobem swą zasadniczą, niedawnemi encyklikami objawioną niechęć dla wszelkiego poważniejszego ruchu społecznego. Mieszczańscy politycy socyalni nie odmawiają mu tej satysfakcyi; wszak pierwszą ich cechą jest grzeczność, a przytem liczyć się muszą z opinią katolików, o których poparcie też im idzie.

Główne zadanie związku polega na tem, żeby zbierać, opracowywać i ogłaszać dane, co do postępów prawodawstwa socyalnego we wszystkich krajach świata i w ten sposób, oraz za pomocą agitacyi odpowiedniej i prac przygotowawczych, zachęcać i nakłaniać rządy i parlamenty do dalszych na tem polu postępów. Pierwszy cel osiąga się za pomocą pisma *Bulletin des internationalen Arbeitsamtes*, nadzwyczaj starannie redagowanego przez sekretarza związku. prof. Stefana Bauera z Bazylei, który śledzi odpowiednie fakty w blizko stu państwach *). Drugiemu celowi służą prace poszczególnych sekcyj krajowych, a w dziedzinie międzynarodowej ochrony pracy — zjazdy i komisye związku. W tej dziedzinie związek może się już pochwalić jednem ważnem powodzeniem praktycznem, zajmował on się dotychczas zakazem nocnej pracy kobiet i używania fosforu w przemyśle, jako dwoma kwestyami najpilniejszemi i zupełnie już dojrzałemi do rozstrzygnięcia międzynarodowego. Otóż, ulegając wezwaniom zjazdu i biura związku, rząd szwajcarski postanowił urządzić w Bernie, w maju 1905 r. urzędową, dyplomatyczną konferencyę w celu rozwiązania tych dwu kwestyj za pomocą umów międzynarodowych. Już przyrzekły swój udział: Niemcy, Austro-Węgry, Włochy, Francya, Holandya, Luxemburg, Anglia: rząd szwajcarski stara się jeszcze o zgodę Rosyi i Stanów Zjednoczonych. Szwajcarya powraca w ten sposób do swej zaszczytnej inicyatywy z roku 1881 i 1889, która jej się z natury rzeczy należy, jako najbardziej demokratycznemu państwu na świecie. Wiadomo, że wówczas Szwajcarya odstąpiła swą inicyatywę cesarzowi Wilhelmowi II, który w ten sposób chciał nadać swym rządom blask socyalnego postępu. Ale konferencya berlinska w roku 1890 skończyła się na niczem — na wypowiedzeniu pobożnych życzeń; może przyszłoroczna, bernenska wyda jakieś rezultaty pozytywne.

Ważnym krokiem przygotowawczym do tego celu jest niedawno zawarta umowa francusko-włoska, o której pisaliśmy już w nr. 21 *Prawdy* z d. 8 maja roku bieżącego.

Ten niezwykły akt dyplomatyczny nie pozostanie, zdaje się, odosobniony: jest nadzieja, że Belgia, której liczni poddani pracują w pogranicznych, przemysłowych okręgach Francyi, zechce zawrzeć z Francyą podobną umowę. Jeśli konferencya bernenska skończy się szeregiem traktatów w sprawie nocnej pracy kobiet i używania fosforu, to będzie to piękny początek międzynarodowego prawa pracy i zasługa mię[illegible]

*) Przy tej sposobności warto przypomnieć, że Galicya dotychczas nie utworzyła osobnego oddziału w sekcyi austryackiej i wogóle świeci w niej nieobecnością. Co na to krakowskie Towarzystwo nauk społecznych?

*) Tom II [illegible] omawia np. 570 praw i rozporządzeń wydanych w 93 państwach, a oprócz tego uchwałę kongresów itp.

Związek ten, dopiąwszy tego, że tamtemi dwoma sprawami zajęły się rządy, sam zabiera się teraz do nowych zagadnień, trzymając się wciąż metody wybierania poszczególnych, konkretnych, ściśle określonych i ograniczonych. Zjazd bazylejski zajmował się mianowicie kwestyami następującemi: 1) zwalczaniem ołowiu i innych trucizn przemysłowych; 2) pracą nocną dzieci i młodzieży (te dwie kategorye stanowią naturalny dalszy ciąg dwóch dawniejszych); 3) ubezpieczeniem cudzoziemców; 4) pracą domową.

W sprawie pierwszej, po szczegółowych obradach w komisyi, zapadła uchwała, że w malarstwie, w farbach ołów może i powinien bezwarunkowo być zastąpiony przez materyały i kombinacye inne. Niektóre rządy, np. francuski, dały już przykład częściowych zakazów używania ołowiu, strasznie szkodliwego dla zdrowia robotników. Co do innych gałęzi przemysłu, gdzie ołów wchodzi w grę, jak huty, garncarstwo, fabryki akumulatorów elektrycznych, drukarnie itp., to powierzono stałym komisyom badanie środków ochrony zdrowia robotników, a przytem ktoś bezimienny ofiarował 25,000 fr. na nagrody konkursowe za najlepsze propozycye w tym kierunku.

Co do innych trucizn przemysłowych, uchwalono tymczasem następujące życzenia: zobowiązać właścicieli fabryk, używających takich materyałów, oraz lekarzy, spotykających wypadki zatruć z tego powodu, do donoszenia o tem władzom; lekarze takich fabryk powinni być materyalnie niezależni od przedsiębiorców; fakultety medyczne powinny specyalną uwagę zwrócić na ten przedmiot w rozkładzie i prowadzeniu nauk; w inspekcyi fabrycznej lekarze powinni brać udział; czas pracy w fabrykach zatruwających powinien być odpowiednio skracany.

Kwestya równouprawnienia robotników zagranicznych pod względem ubezpieczenia od wypadków, choroby, starości, braku pracy itd., częściowo rozstrzygnięta, jak widzieliśmy w umowie francusko-włoskiej, wywołała też zasadniczą uchwałę zjazdu za zupełnem i powszechnem równouprawnieniem imigrantów na tym punkcie.

Co do zniesienia pracy nocnej dzieci i młodzieży oraz ograniczenia pracy domowej pozornie niezależnych robotników dla hurtownych przedsiębiorców — kapitalistów, która wszędzie rozwija się w miarę postępu praw fabrycznych, ponieważ krępowani kapitaliści do niej się uciekają, to te dwie nadzwyczaj ważne sprawy po opracowaniu odpowiednich kwestyonaryuszów, przekazano do badania sekcyom krajowym przez okres dwuletni, oddzielający je od następnego zjazdu międzynarodowego. Do nich dołączono na wniosek Francuzów, i pomimo protestów Niemców przeciw przeciążeniu programu, kwestyę ograniczenia wogóle oraz skrócenia dnia roboczego dla wszystkich — i robotników dorosłych płci męzkiej.

Nie przeceniamy znaczenia międzynarodowego prawodawstwa pracy i ruchu w celu zdobycia go. Nieraz służy ono za wymówkę przeciwnikom postępu socyalnego, którzy dowodzą, że dana reforma nie może być wprowadzona w jakimś kraju, dopóki nie zgodzą się na nią i inne kraje, bo zaszkodziłaby przemysłowi krajowemu w konkurencyi z zagranicznym. Jednak twierdzenie to, w gruncie rzeczy naogół fałszywe, działa swą pozorną prostotą i ma dużo zwolenników. Dobrze więc, że politycy socyalni, nie zaniedbując starań w celu rozwijania prawodawstwa pracy każdy w swojej ojczyźnie, zabiegają nie bez powodzenia o usunięcie i tej przeszkody, a jednocześnie w formach ciekawych i szlachetnych —dają świadectwo koniecznej i nieuniknionej w w. XX międzynarodowości życia kulturalnego.

K. Krauz.

Uczmy się patrzeć.

Człowiek nietylko patrzy na życie, lecz i żyje w niem, a to niesłychanie jego położenie utrudnia. W stosunku do życia, nie może on pozostać obserwatorem zimnym, spoglądającym z wieży na bieg jego spraw, wypatrującym zmian, śledzącym napięcia energii, jej osłabienia, przypływy i odpływy, łączącym zdobyte doświadczenie w jedną całość, którą przepuszcza przez pryzmat własnej myśli i tą drogą otrzymuje ostateczny rezultat swych badań. Jest on umysłem, pochłaniającym wrażenia, dostarczane przez wszystko, co się w nim i po za nim dzieje, a jednocześnie jest też i krwią pulsującą, jest tem, *co* się dzieje. Życie to ludzie — przynajmniej dla ludzi.

Lecz życie czynne nuży i męczy; fala jego, jak deszcz ulewny, bije nam w oczy; nie mamy więc siły podnieść powiek i — patrzeć. Nierozłączny z tem zjawiskiem jest nasz stały pesymizm społeczny, pozbawiony głębszej treści i wypowiadający się cały w wątpieniu, w którem nie ma nic poważniejszego, nic, coby świadczyło o pracy myślowej, jednak daje ono doskonały obraz tej niewiary, braku zaufania do samych siebie, które zjadają podstawy naszego życia, stanowią przędziwo osnuwające nasze myśli społeczne. Nasze pragnienia niosą nas na szczyty, dokąd już jednak czyny nasze za niemi podążyć nie mogą. Od czasu do czasu siła energii pojedyńczych jednostek zdobędzie jakąś placówkę, da się uczuć pewne, nieznaczne poruszenie umysłów; przypuścić należy, że posuwamy się naprzód, lecz to zaledwie dostrzedz można, tak chaotyczne i tak leniwe są te ruchy.

Czas już jednak otrząsnąć ten nalot śmierci z ducha, czas zbudzić w sobie siłę woli i wiarę w siebie, czas zobaczyć to, co życie codziennie z uporczywością nam powtarza — czas nauczyć się patrzeć.

Nam brak wiary w siebie, jednak czujemy, że bez niej żyć nie można i czepiamy się różnych zdarzeń zewnętrznych, usiłujemy łudzić się, że ponad to, cośmy z okoliczności wziąć umieli, nieby się więcej wycisnąć nie udało — to jednak nie ucisza naszego niepokoju. Nie możemy pozbyć się uczucia winowajcy, który zdaje sobie sprawę z tego, że tylko na chwilę uśpił świadomość otoczenia, co do wielkości swej przewiny, że lada podmuch zmiennego wiatru rozpędzi mgły, zaciemniające wzrok, zaostrzy siłę widzenia, surowość sądu.

Wiara — to nie uwielbienie samego siebie i bezkrytyczne powiększanie tego, czem jesteśmy i co robić możemy. Wiara — to baczne patrzenie w życie, znajomość jego potrzeb, zdolność do czynu, oparta na wszechstronnym rozwoju własnej indywidualności.

br.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Tołstoj i tołstoizm.

Śród nowoczesnych kierunków etycznych może tołstoizm nie posiada najwięcej wyznawców, ale śród mesyaszów teraźniejszości jego twórca niewątpliwie liczy ich najwięcej. To znaczy, że niema dziś pisarza, któryby w równej mu mierze zajmował uwagę cywilizowanego świata. Jego biograf mówi, że codziennie do Jasnej Polany poczta przynosi kilkaset listów i posyłek, że Tołstoj sam, bez pomocy córki nie mógłby ich przejrzeć, a tem mniej na korespondencyę odpowiedzieć. Jego pisma, przekładane natychmiast na wszystkie ważniejsze języki, rozbiegają się po kuli ziemskiej w milionach egzemplarzy, a młoda Ameryka pochłania ich jeszcze więcej, niż stara Europa.

Dlaczego? Czy tołstoizm jest nauką bardzo mądrą i bardzo oryginalną? Nie. Gdyby nasi historycy nie sądzili, że rozstrzygnięcie, „jakim fortelem polowano dawniej na rarogi" lub „kiedy się zjawiły po raz pierwszy baby kościelne" — ma większą doniosłość, niż badanie rozwoju pojęć i kultury narodu polskiego, wiedzielibyśmy dawno i dowodnie, że główne zasady tołstoizmu wygłosili nasi socynianie przed 300 laty. W ich dziełach znaleźć można zakaz „sprzeciwiania się złemu złem," przysięgi, noszenia broni, zabójstwa itd. wraz z żądaniem powrotu do pierwotnego chrześciaństwa. Naturalnie autor „Zmartwychwstania" jest olbrzymim talentem i żyje w XX wieku, jego zatem wywody mają dla nas większą siłę i zrozumiałość, niż socyniańskie. Ale rdzeń obu jest wspólny, jak on zresztą wspólny jest wszystkim religijno-etycznym teoryom, opartym na „czystej ewangelii."

Ich wartość również jest zawsze jednaka: filozoficznie bardzo mała, praktycznie bardzo wielka. Wyobraźmy sobie, że do jednej z wielu Sodom europejskich przybywa mnich buddyjski z zamiarem apostolstwa. Rozumowania i dowody, jakich on użyje w tym celu, będą bezkrytyczne i naiwne, jego gromy niezmiernie kruche, ale punkt, do którego je zwróci, będzie istotnie słabym i ugodzenie weń osiągnie skutek. Niepodobna zaprzeczyć, że dzisiejszy świat cywilizowany, nazywając się ciągle chrześciańskim, w rzeczywistości oddalił się od pierwotnego źródła swej wiary i moralności, że coraz głębiej zapada w obłudę, ze wreszcie zatracił lub wypaczył pewne uczucia, zasady i reguły, bez których postęp kultury etycznej, a nawet szczęście społeczeństw jest niemożliwe. Tołstoizm tedy starą, zardzewiałą, muzealną bronią walczy o cenne dobro ludzkości. Gdy on ciągle przytacza zdania i maksymy, które przed dwoma tysiącami lat były wielką mądrością, gdy nihilującą pochodnią chciałby podpalić i zniszczyć wszystkie przybytki cywilizacyi i zawrócić ją do stanu niemal przedhistorycznego, gdy po za prostą robotą i życiem chłopa nie uznaje niczego godnem zachowania, ma w swych psalmach zagłady tony fanatyka i barbarzyńcy. Ale ma również tony wspaniałego humanizmu. Taką, jak on chce, ludzkość już być nie może, ale taka, jaka jest i jaką on wyklina, przestać być musi. Nie wyrzeknie się ona sztuki, nauki, urządzeń społecznych i wygód życia, ale niechybnie pozbędzie się uprawniania gwałtów i rozbojów, zaprzeczania wzniosłym słowom podłymi czynami, zamaskowanej rozpusty, bezwstydnego wyzysku, złodziejskiego zbytku. O ile tołstoizm przeczy, sięga do dalekiej przyszłości, o ile twierdzi, cofa się do odległej przeszłości. Prawdopodobnie ze wszystkich środków, którymi chciałby ludzkość wyleczyć, ani jeden nie pokonałby jej choroby i ani jednego ona nie przyjmie. Jest to przy doskonałej dyagnozie najzwyklejsze znachorstwo, które czasem istotnie sprawia cuda, chociaż nie swojemi receptami, lecz suggestyą, które jednakże nigdy nie wyjdzie swem powodzeniem po za koło prostaków. Śród umysłów zaś oświeconych a wrażliwych i do odrodzenia się zdolnych wywoływać będzie tylko szeregi dobroczynnych wzruszeń, samokrytykę i pochop do gruntownych przemian, ale bynajmniej nie w tym kierunku, w którym

on zaleca. Dążność antikulturalna była stałą cechą wszystkich tego rodzaju reformatorów, którzy zawsze kazali wzgardzić dobrami doczesnemi, wdziać włosiennice i przepasawszy się sznurem, jeść korzonki; ludzkość ich słuchała, pod ogniem błyskawic apostolskich błędy swe naprawiała, ale ani włosiennic nie wdziała, ani korzonków nie jadła, ani dobrami doczesnemi nie wzgardziła. Że zaś to jest niemożliwem, najdowodniej okazał — Tołstoj.

Przed tym nadzwyczajnym człowiekiem stanęła bardzo trudna zagadka urządzenia własnego życia, którą on musiał rozwiązać nie według praktycznej możliwości, ale według teoretycznej formuły. Zająwszy takie stanowisko, niepodobna było uciec się do pospolitej, kaznodziejskiej dwulicowości i poprzestać na słowach, lecz należało zastosować do nich czyny. Czy je Tołstoj sharmonizował? Powiedzmy odrazu szczerze — nie, i to najwymowniej świadczy przeciwko wykonawczej stronie jego teoryi. P. D. Mereżkowski, autor świeżo wydanej w polskim przekładzie książki „Leon Tołstoj i Dostojewski jako ludzie," woła: „Gdzież przykazanie Chrystusa o zrzeczeniu się własności, o zupełnej pokorze i ubóstwie, jako jedynych drogach do Królestwa bożego? Gdzie mamy wielkiego pisarza rosyjskiej ojczyzny w postaci wielkiego anachorety? Co stało się z nadzieją naszą cudu w historyi kultury rosyjskiej, tego cudu, że najbogatszy co do cielesnych i duchowych skarbów człowiek będzie istotnie w pocie czoła pracował na chleb?" Zwykłe Heinowskie „zalecanie wody i picie wina." Tołstoj, ażeby wydobyć się z rażącej sprzeczności, oddał ogromny majątek rodzinie, z którą mieszka i wszystkie jego korzyści podziela. Pomimo bluzy, grubych butów i prostego umeblowania pokoju, żyje bardzo dostatnio i wytwornie, wzmacniając się rozmaitymi sportami, do których zaliczyć można również trochę pracy fizycznej. „Tak, wieczne święto — powiada p. M. — wieczna zabawa, to w polu za pługiem, to w lawn-tenisie, to na łące z kosiarzami, to przy oczyszczaniu śniegu dla ślizgawki na łyżwach, to przy budowie pieca dla biednej baby. Naprożno Zofia Andrzejówna obawia się szkodliwej rzekomo jazdy na welocypedzie, którą uprawia jej mąż, przebiegając po 30 wiorst. Niech mówią, co chcą, on czuje, że to ciągłe, jakoby nadmierne wytężenie mięśni i ścięgien, ta wieczna gimnastyka i zabawa, która staje się jeszcze zabawniejszą i przyjemniejszą, gdy nazywa się *robotą*, są konieczne dla jego zdrowia." Obok tego nieocenionego skarbu rośnie drugi, który spoczywa w tak zdolnych i pewnych rękach, że hr. Tołstoj powinienby go w nie złożyć, gdyby nawet nie potrzebował fikcyą ratować pozorów swego mniemanego ubóstwa. „Im niemiłosierniej demaskował on sprzeczności współczesnego życia burżuazyjnego — mówi biograf — im szczerzej zalecał wykonanie przykazań Chrystusa — wyrzeczenie się majątku, tem lepiej rozprzedawała różne wydania jego pism Zofia Andrzejówna, tem większy z nich zysk otrzymywała... I gdy Leon Mikołajewicz odpoczywa po wycieczce welocypedowej, po grze w tenisa lub stawianiu pieca dla biednej baby, hrabina całą noc nie śpi przy korekcie nowego wydania — nowego źródła złota."

P. Mereżkowski na jednej z kart swej książki sam uczuł pewien niepokój w przypuszczeniu, że może skrzywdził wielkiego pisarza. I niewątpliwie posunął się w swem ironizowaniu go tu daleko. Nieprawdą jest, ażeby Tołstoj był obłudnikiem, ażeby grał komedyę ewangelicznego ubóstwa, ażeby „najgłębszą treścią wszystkich jego uczuć i myśli była miłość ciała;" ale prawdą jest, że on, nieustraszony, niecofający się w rozumowaniu przed najzuchwalszymi wnioskami, cofnął się w praktyce przed zastosowaniem swej nauki do siebie, że sprzeczności, w jakiej względem niej stanął, żadną sofistyką nie zetrze, że jego mniemane wyrzeczenie się majątku na rzecz rodziny jest okłamywaniem siebie i nielogicznością, że wogóle wcielenie jego zasad w czyny jest niemożliwem dla niego samego. Pomimo że zaryglowywa swoją świadomość przed tym faktem, nieraz musi robić pożałowania godne wysiłki, ażeby nie dopuścić do niej konsekwentnej natarczywości tych, których jest orędownikiem. Pewnego dnia zachodzi mu drogę chłop z synkiem.

— „Czego chcesz?" — pyta Tołstoj.

— Da.. aj źrebaczka — mówi malec.

— Jakiego źrebaczka? — woła zmieszany — Co za głupie gadanie! *Ja nie mam* żadnego źrebięcia.

— Owszem masz — oświadcza ojciec i wysuwa się naprzód.

— No, *ja* tam *nie wiem*. Ruszaj z Bogiem."

Formalnie tak jest. *On* nie ma źrebięcia i *on* nie wie o tem. Ale istotnie *on ma* źrebię, *on wie* o tem i *on powinien je dać* chłopu.

Rzecz to niezawodna, że łatwiej stworzyć teoryę postępowania, niż według niej postępować, że jeśli ta teorya zbyt daleko odchyla się od teraźniejszości, dopasować się do niej nie da, że najradykalniejszy reformator musi oprawić swe życie w ramy otoczenia. Ale obowiązkiem jego jest zrobić wszystko, co możliwe, ażeby stać się wiernym przykładem swojej nauki. Czy Tołstoj zrobił? Niestety, był na to zbyt bogatym i zbyt utytułowanym. Jest to wszakże nieszczęście tylko dla tołstoizmu, bo dla tych szlachetnych pierwiastków, które z niego przejdą do kultury świata, nie ma to wielkiego znaczenia. Ludzkość czerpie zdrowy napój nawet u tych, którzy sami ze swego źródła nie piją.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Promienie-N w świetle krytyki.

Niespełna dwa lata temu rozeszła się wieść po świecie, że dwaj uczeni francuscy, Blondleau i Cherpentier, robiąc doświadczenia nad promieniami Roentgena, spostrzegli nowe zjawisko — nieznane, tajemnicze promienie, wydobywające się z rurki Crooksa, dla których nie istnieją niemal żadne przeszkody, uniemożliwiające im przejście przez nie. Zdaniem Blondleau są to promienie, potęgujące siłę blasku nietylko wszelkiego rodzaju słabo świecących źródeł światła, ale też i przedmiotów słabo oświetlonych lub fosforyzujących.

Na cześć miasta Nancy, gdzie doświadczenia były robione pierwotnie, nazwano je promieniami N. I podobnie, jak to miało miejsce z promieniami Roentgena, a ostatnimi czasy z radium Skłodowskiej, nie było takiego pisemka brukowego, któreby się nie czuło w obowiązku przez usta znawców powołanych i niepowołanych oznajmić swym czytelnikom o nadzwyczajnym wynalazku Blondleau.

Nowina była sensacyjna. Jak kamień, rzucony w wodę, wywołuje fale koncentryczne tem słabsze, im większy jest ich promień, tak i śmiały wynalazek uczonego Francuza dotarł do naszej parafii, dostarczając wdzięcznego tematu prasie kuryerkowej; lecz wkrótce zapomniano o promieniach N. Tymczasem niema prawie jednego zeszytu sprawozdań (Comptes rendus) Akademii paryskiej, żeby nie było w nim mowy o wciąż nowych doświadczeniach Blondleau i Cherpentiera nad promieniami N (ukazały się już nawet i promienie N_1), wywołujących ożywioną polemikę z niemieckimi i angielskimi przedstawicielami nauki, oraz w łonie członków samej Akademii paryskiej.

Blondleau i Cherpentier, niezmordowani w swych próbach, idą coraz dalej — twierdzą oni, że promienie N tem się różnią zasadniczo od promieni Roentgena i Bequerela, że nie posiadają własności wywoływania fluorescencyi i fosforescencyi ciał, jak również nie oddziaływają na płytę fotograficzną, natomiast zauważono w nich polaryzacyę, defrakcyę, przełamywanie się itp. własności, których nie mają ani promienie Roentgena, ani Bequerela. Dalej, na podstawie dokonanych prób, twierdzą oni o fizyologicznem pochodzeniu i własnościach tych samych promieni, że spotkać je można niemal wszędzie w przyrodzie.

Tak np. nietylko rurka Crooksa może produkować promienie N, ale i słońce i palniki Auera, i płomień zwykłej świecy, drut rozżarzony, lampka elektryczna, wreszcie każde ciało, w którem nastąpiła przemiana molekularna za pomocą ścieśnienia, rozprężenia, jak przy zgięciu laski, uderzeniu młotkiem po kawałkach metalu, trącaniu struny itp. Niektóre przedmioty, poddane działaniu promieni N, mają własność wchłaniania ich w siebie i następnie same stają się ich źródłem. Np. zwykły kamień, leżący dłuższy czas na słońcu, wydawał z siebie promienie N w pokoju zupełnie ciemnym, jak utrzymuje Blondleau, w przeciągu trzech dni, potęgując fosforescencyę ekranu.

W całym szeregu referatów dla sekcyi fizykalnej Akademii paryskiej Blondleau i Cherpentier dowodzą fizyologicznego działania i pochodzenia tych promieni N, które mogą zaostrzyć słuch, powonienie, wzrok. Pan Blondleau dojrzał godzinę na zegarze, umieszczonym w ciemnym pokoju, po poddaniu swego wzroku działaniu tych promieni i twierdzi kategorycznie, że w innych warunkach wskazówek zegarowych nie zobaczyłby. Ciało ludzkie oraz zwierzęce może, zdaniem Cherpentiera, wydzielać tajemnicze promienie N, tak dalece, że zwiększa siłę blasku fluorescującego ekranu i rozmaitych ciał rozżarzonych. Podobno szczególnie łatwo daje się to zjawisko zauważyć, gdy człowiek jest w podnieceniu nerwowem lub wykonywa pracę mięśniową i ma skórę silnie podrażnioną. Własność wydzielania z siebie promieni N posiadają również i rośliny, szczególniej w miejscach zielonych i podczas najsilniejszych funkcyj życiowych.

Słowem, w każdem niemal zjawisku przyrody dopatrują się istnienia promieni N i tem tłomaczą ich pochodzenie fizyologiczne. Tak utrzymują uczeni z Nancy, ale niestety mają oni do zwalczenia olbrzymie trudności w udowodnieniu swych teoryj. Wiadomo np., że ciało ludzkie wydziela promienie cieplne, które ze swej strony mogą też zwiększać blask ekranu fluorescującego, trzebaby więc było usunąć je zupełnie przy doświadczeniach Cherpentiera, pozostawiając tylko owe promienie N. Ta próba podobno się udała, ale, niestety, prócz Cherpentiera dotychczas nikt nie mógł jej powtórzyć.

Większość uczonych nader sceptycznie i z wielką powściągliwością zachowuje się względem tych nowych promieni, gdy tymczasem obecność promieni Roentgena natychmiast uznano powszechnie.

Znakomity fizyk angielski, Swinton, twierdzi z całą stanowczością, że spotęgowanie fluorescencyi ekranu zawdzięcza się tylko ciemnym promieniom cieplnym. Powiada on, że powtarzał doświadczenia Blondleau i Cherpentiera, lecz nigdzie nie mógł odnaleźć promieni N, były tylko promienie cieplne i mówi, nie bez ironii, że

but, który jeszcze nie utracił swej ciepłoty po zdjęciu go z nogi, doskonale może pobudzić do świecenia ciemny ekran. Za Swintonem idzie i profesor Lumer („Phisikalische Zeitschrift"), który dowodzi nader przekonywająco, że co do większej lub mniejszej fosforescencyi ciał, tego głównego kryteryum w doświadczeniach Blondleau i Cherpentier, wrażenie uczonych francuskich może być subjektywne. Powiada on, że przy wszystkich podobnych badaniach spotęgowanie światła może być tylko złudzeniem optycznem, wywołanem sposobem, jakim się na dany przedmiot patrzy. Wreszcie niedawno podczas doświadczeń nad promieniami N w Akademii paryskiej przekonano się, że dają one całe widmo po przełamaniu się w pryzmacie aluminiowym, a długość fali waha się pomiędzy 0,008μ i 0,02μ ($\mu = {}^1/_{100}$ mil.), co wskazuje, że promienie te są daleko po za ultrafioletowymi. Z tego powodu wynikły spory wśród członków Akademii. Prezes sekcyi, Mascar, udał się do Nancy, by być obecnym przy doświadczeniach Blondleau. Może powodowany wrodzoną uprzejmością, nie zaprzecza on im kategorycznie, twierdzi tylko, że doświadczenia owe są nadzwyczajnie trudne i *niemal niemożliwe do powtórzenia.*

I oto stoimy wobec nierozwiązanej zagadki natury, mogąc zająć jedynie stanowisko wyczekujące. Zapewne niedługo dowiemy się o zwycięstwie Blondleau lub że został on wprowadzony w błąd, jak to się często zdarza.

A. Roszkowski.

Gustaw Ratzenhofer

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Nauka, a w szczególności socyologia i filozofia poniosły niepowetowaną stratę. Jeden z najśmielszych i najdzielniejszych bojowników przeciw wiekowym zabobonom i przesądom, bezwzględny obrońca prawdziwej nauki, przytem jeden z najgłębszych myślicieli dzisiejszego świata zmarł prawie nagle d. 8 b. m., w 63 roku życia, na okręcie, którym wracał z odbytego właśnie światowego kongresu uczonych w St. Louis, w Ameryce. Zmarł w chwili, kiedy stanął u zenitu swojej sławy naukowej i kiedy ostatnim odczytem, wygłoszonym 24 września na kongresie w St. Louis cały świat naukowy wprawił w oczekiwanie szeregu dalszych prac. Bo ta ostatnia jego mowa „o problematach socyologii," jak z jednej strony była streszczeniem dzieł od dziesięciu lat przez niego ogłaszanych, tak z drugiej — programem dalszych, których można było się po nim jeszcze spodziewać.

Gustaw Ratzenhofer urodził się 4 lipca 1842 r. w Wiedniu, jako syn zegarmistrza, i według woli ojca miał zostać zegarmistrzem, był już nawet terminatorem w tem rzemiośle. Kiedy jednak ojciec wczas go odumarł, młody Ratzenhofer, nie mając środków na utrzymanie, wstąpił jako ochotnik do wojska. Był to rok 1859; odbył więc wojnę austryacko-francuską, a w r. 1866 austryacko-pruską. W pierwszych tych latach awansował bardzo powoli. W czasie pokoju między 1866—1879 wziął się do samokształcenia i usilną pracą powetował obficie brak studyów gimnazyalnych i uniwersyteckich. W tym peryodzie przypada pierwsza jego praca literacka: „Nauki taktyczne z wojny 1870—71 r.," którą zwrócił na siebie korzystnie uwagę wyższych władz wojskowych austryackich, tak że już łatwiej, niż dotąd, zaczął awansować. To też w kampanii bośniacko-hercegowinskiej 1878—79 r. przydzielony był jako oficer do sztabu generalnego i odtąd szybko szedł w górę, aż w r. 1890 został feldmarszałkiem-porucznikiem, a następnie prezesem wyższego sądu wojskowego w Wiedniu, którą to godność jednak niedługo piastował, gdyż w r. 1901 otrzymał emeryturę. Przeszedłszy w stan spoczynku, zabrał się do ogłaszania swych dzieł, dojrzałych już owoców ćwierćwiekowej pracy umysłowej. To też szybko po sobie nastąpiły w ubiegłem dziesięcioleciu publikacye jego, obejmujące prawie cały zakres socyologii i filozofii. Mianowicie wydał: „Istota i cel polityki" (trzy tomy) 1893, „Poznanie socyologiczne" („Soziologische Erkenntniss") 1898, „Monizm pozytywny i jednościowa zasada wszech objawów," 1899, „Etyka pozytywna" 1901, „Krytyka rozumu," 1902.

Krytyka niemiecka przyjęła pierwsze z powyższych dzieł, „Politykę," która nosiła podtytuł: „jako część socyologii i podstawa nauk politycznych," bardzo chłodno, bo był to jeszcze czas, kiedy w niemieckich kołach naukowych, zwłaszcza uniwersyteckich, socyologii odmawiano uznania, a już nie można było przebaczyć Ratzenhoferowi, że za podstawę swojej „Polityki" wziął „Socyologię Gumplowicza," co jawnie w przedmowie i w tekście dzieła kilkakrotnie wypowiedział. Bo żeby przynajmniej Gumplowicza był przemilczał, miałby pewnie lepsze powodzenie u niemieckiej krytyki uniwersyteckiej. Ale cóż, kiedy Ratzenhofer nie należał do tych uczonych cechowych, którzy źródła mądrości swej pokrywają milczeniem — nie potrzebował też tego nigdy czynić, bo zasób własnych myśli genialnych, którym prześcignął wszystkich swych poprzedników, pozwalał mu zawsze występować z otwartą przyłbicą i każdemu przyznać to, co mu się należało.

To też mimo niechęci uczonych sfer niemieckich już drugie dzieło jego „Soziologische Erkenntniss" zjednało mu uznanie szerokich kół filozofów nietylko w Niemczech, ale i za granicą, a głównie w Ameryce. Następujące trzy prace, któremi wkroczył na właściwe pole filozofii, zachowując przytem konsekwentnie socyologię jako swoją podstawę operacyjną, zmusiły najniechętniejszych do uznania, że w szeregu wielkich myślicieli świata Ratzenhofer zajmuje jedno z pierwszych miejsc. Filozofia niemiecka zaczęła się z nim liczyć. Z Ratzenhoferem wtargnęła socyologia na arenę nauki w Niemczech, gdzie dotąd znajdowała tyle biernego oporu. Śmiało można powiedzieć, że Ratzenhofer przebojem zdobył w Niemczech dla niej pozycyę naukową, której odtąd, pomimo licznych jeszcze niechęci pokątnych, chyba i po śmierci dzielnego swego obrońcy już nie utraci. Ale nie zadowolił się on pół-zwycięstwem w Austryi i Niemczech. Postanowił skorzystać ze sposobności kongresu naukowego podczas wystawy w St. Louis, aby z trybuny iście światowej zaznaczyć zwycięztwo idei socyologicznej, socyologicznego pojmowania świata i dziejów. Nie była to tylko chęć zamanifestowania się — Ratzenhofer nie znał próżności osobistej — ale chodziło o zadanie ciosu bodaj śmiertelnego tej hydrze stugłowej przesądów, która dziś jeszcze nietylko ludzkość, ale i świat naukowy ściska morderczymi zwojami, dusi i dławi, swobodną myślą odetchnąć jej nie pozwala. A w końcu było jeszcze co innego: niepohamowana siła parła Ratzenhofera do tego kroku, połączonego z nieco uciążliwą dla 63-letniego człowieka podróżą. W twórczym jego duchu zabłysnął był nowy pomysł: wielka synteza wszech nauk specyalnych ze stanowiska socyologii i cała wiązanka problematów socyologicznych, ujęta w system logicznie zestawiony. Wszak właściwie dzieła jego, wydane w ubiegłem dziesięcioleciu, przedstawiają nam już pewien całokształt naukowy. Bo wziąwszy za punkt wyjścia teoryę socyologiczną o grupach społecznych i walce ich o byt, zbudował on na tej podstawie najprzód teoryę polityki: następnie wykazał istotę „poznania socyologicznego," na czem ono polega i o ile nam otwiera nowe źródła wiedzy różne od dotychczasowych, bądź od „objawów" teologicznych, bądź od spekulacyi filozoficznej lub nakoniec od metody przyrodoznawstwa i indukcyi, *fałszywie* stosowanej do zjawisk społecznych.

W następnem dziele znowu przedstawił istotę „Monizmu pozytywnego," wywodzącego cały świat zjawisk z jednej zasady jednolitej, a mianowicie z „prasiły," wykazując identyczność jej we wszystkich zjawiskach, bądź przyrody martwej, bądź organicznej, bądź wreszcie świata społecznego.

Wytłomaczywszy w powyższych trzech dziełach tożsamość istoty i rozwoju całego świata, nie wyłączając ani człowieka, ani społeczeństwa, ani nawet umysłowości ludzkiej, musiał Ratzenhofer być przygotowany na zarzut i pytanie: „a gdzie moralność?" Jeżeli wszystkie czyny ludzkie podlegają nieugiętym prawom natury i wszelka myśl ludzka, każdy zamiar, zachcianka, namiętność, każde uczucie nasze są konieczne, bo przyrodniczo uwarunkowane, cóż wtedy jest złem a co dobrem, co szlachetnem a co podłem, co wzniosłem a co nizkiem, co jest cnotą a co zbrodnią?" Tak pytają moraliści. Daje im na to odpowiedź Ratzenhofer w swojej Etyce pozytywnej — odpowiedź wyczerpującą i znakomicie ufundowaną. Nie opuszczając ani na krok swej podstawy przyrodniczej i socyologicznej, wykazuje rozwój moralności, znaczenie pojęć i odróżnień: zło i dobro. Etyka jego, zbudowana ściśle na gruncie darwinizmu i socyologii, odrzuca dawniejsze wywody moralności bądź z idej apriorystycznych, bądź kantowskich imperatywów kategorycznych albo dowolnie stawianych postulatów, a wykazuje raczej powolny rozwój tych idei i uczuć w miarę rozwoju ustrojów życiowych i społecznych. Tą etyką zawojował Ratzenhofer szerokie koła filozofów fachowych niemieckich: „system" Ratzenhofera stanął co najmniej równorzędnie obok systemów filozofów nowożytnych od Spinozy do Kanta i Spencera.

Ale jeżeli całokształt jego dotychczasowych teoryj miał być ufundowany, pozostało mu jeszcze odpowiedzieć sobie i światu na pytanie: a skąd my to wszystko wiemy? Jeżeli odrzucamy powagę objawień oraz idej spekulatywnych i wszystko „rozumem" naszym dociekamy, gdzież rękojmia, że „rozum" ten nas nie myli? co zacz on i kto go rodzi, że tak na nim mamy polegać? Tym pytaniom gwoli powstało ostatnie z jego dzieł: „Krytyka rozumu." Tutaj znowu ta sama metoda przyrodnicza badania indukcyjnego. Wszelkie jestestwo jest przejawem prasiły. Każdy ustrój od najniższego do najwyższego ma wrodzony swój interes samozachowawczy. W wyższych ustrojach interes ten staje się świadomym siebie. „Zdolność uświadomionych ustrojów samozachowania się w walce o byt i rozwijania się w kierunku wrodzonego interesu nazywamy rozumem."

Trudno mi dzisiaj więcej o tej książce powiedzieć, dodam tylko, że od czasu kantowskiej „Krytyki czystego rozumu" nie było dzieła filozoficznego, któreby tak zadawalająco rozwiązało arcytrudną kwestyę *istoty* rozumu. Przynajmniej to jest rzeczą pewną, że podczas, gdy wszystkie dotychczasowe usiłowania rozwiązania tej kwestyi nie mogły nas ostatecznie *zaspokoić*, bo zawsze w końcu odsyłały do jakiejś po za zmysłowej instancyi bądź teologicznej, bądź spekulatywnej, nie dawały nam nigdy światopoglądu jednolitego, tylko zawsze rozerwany i podwójny, pół w świetle rze-

czywistości, pół w cieniu wiary albo abstrakcyi, światopogląd Ratzenhofera natomiast jest jednolity i jasny, bez ciemnych punktów, bo nawet jego „prasiła“ przedstawia się jako naukowo najprotsze, najmniej ciemne pojęcie i wyraz ostatniej zasady wszechbytu, od wszelkich innych podobnych tem się korzystnie wyróżniające, że każde zjawisko wszechświata da się z niej wywieść w sposób najzrozumialszy. Nie schodząc z podstawy indukcyi i doświadczenia, bardziej zadawalająco, niż Ratzenhofer, ostatnich zagadek wszechświata rozwiązać nie można.

W każdym razie, porównywając „Krytykę czystego rozumu“ Kanta z „Krytyką rozumu“ Ratzenhofera, trudno nie uznać, że myśl filozoficzna znacznie się rozwinęła i że potrafiła zużytkować w Ratzenhoferze wszelkie zdobycze przyrodoznawstwa XIX w., aby nam stworzyć światopogląd nowy, odpowiadający rozwojowi umysłu ludzkiego w tych stu latach, upłynionych od czasu filozofa królewskiego.

Zdawałoby się, że dokonawszy w dziesięcioleciu 1892—1902 a w szóstej dziesiątce swego wieku tak wielkiego dzieła, jakiem jest całkowity system filozofii, który powyżej w kilku słowach skreślić usiłowałem, zdawałoby się, że twórca-myśliciel odpocznie, zażywając w spokoju zasłużonej sławy. Tymczasem niestrudzony umysł Ratzenhofera z młodzieńczą energią snuł dalsze plany, ku wyższym ciągle rwał się szczytom. Bo jak alpiniście, któremu im wyżej się wspina tem szerszy roztwiera się widnokrąg, tak i Ratzenhoferowi teraz dopiero z wysokości wzniesionego gmachu filozofii na podstawie socyologii rozwarł się nowy, daleko rozleglejszy, niż dotąd, widnokrąg. Objął on nagle okiem ducha ogromny przestwór socyologii, jako wszechnauki, obejmującej w sobie wszystkie dotychczasowe nauki specyalne, które bezwiednie spełniały tylko jedno zadanie: zbieranie i przygotowywanie materyału dla tej najwyższej, ostatniej syntezy naukowej. Zarazem jednak stanęły przed nim w pełnem świetle, jasno odrysowane wszystkie poszczególne „problemata“ tej najwyższej nauki, od których rozwiązania zależnem jest spełnienie najtrudniejszego zadania wszelkich badań ludzkich: zapewnienie największego dobrobytu ludzkości.

Porwany siłą tej idei, jakby odurzony widokami, które jego badawczemu duchowi przedstawiały nowe dziedziny dociekań, snując już na tem tle plany dzieł przyszłych, Ratzenhofer pragnął przedewszystkiem ten pomysł o właściwym stosunku socyologii do całego obszaru dotychczasowych nauk specyalnych i ten zarys systematyczny problematów socyologii wygłosić jak można najszerszemu kołu ludzi nauki całego świata.

W sam raz nadarzyła się okazya kongresu, zapowiedzianego w St. Louis na r. 1904. Tam, już w lecie zeszłego roku, postanowił Ratzenhofer wygłosić odczyt: O problematach socyologii. Tymczasem z końcem zimy r. b. dość ciężko zapadł na chorobę gastryczną, musiał przerwać wszystkie prace i kilka miesięcy przebyć w sanatoryum. Myślałem już że porzuci myśl podróży do Ameryki. Lecz na wiosnę r. b. w miarę, jak do sił przychodził, podjął na nowo swój projekt i zaczął układać odczyt kongresowy. Z końcem maja przysłał mi szkic jego. Byłem wprost zachwycony śmiałością poglądów, szerokim widnokręgiem na cały obszar nauk — i trafnem wykazaniem związku ich z socyologią. W ciągu lata wrócił już był zupełnie do zdrowia. Zdecydował się więc na podróż w towarzystwie młodszego syna, oficera austryackiego sztabu generalnego. Pod datą *18 sierpnia* odebrałem ostatni list jego z Wiednia, w którym mi zakomunikował szczegółowo program podróży. „Wyjeżdżam 27 b. m. i statkiem Wilhelm Wielki podążam do Nowego-Yorku, aby po kilku mniejszych wycieczkach w Ameryce na 19 września przybyć do St. Louis, gdzie w wydziale kongresowym, poświęconym „Social Structure“ wygłoszę mój odczyt. Na *8 października* mam wrócić do Europy, a na 17 stanę z powrotem w Wiedniu.“ I spełnił wszystkie punkty powyższego programu zajechał szczęśliwie do St. Louis; odczyt wygłosił 24 października. Z tego dnia datowana jest ostatnia jego pocztówka przesłana mi z St. Louis; widoczek jej przedstawia „festival Hall and grand Basin“ wystawy. Z przypisku widać, że Ratzenhofer był w nastroju podniosłym po udanym i dobrze przyjętym odczycie, bo przesyła serdeczne pozdrowienie po „skutecznej mowie“ (Herzlichen Gruss nach erfolgreicher Rede). Oczywiście, że miał chwilę wysokiego zadowolenia i szczęścia. Dalsze punkta programu spełniły się: przybył z St. Louis do portu na swój statek, przepłynął szczęśliwie prawie cały Atlantyk i *8 października* wrócił do Europy, ale niestety już nieżyw! W nocy z 7 na 8 nagle zachorował ciężko na okręcie i zmarł w parę godzin. Do Wiednia, rodzinnego swego miasta, wrócił — na marach! Dnia 14 października dwaj synowie jego, starszy dr. Gustaw i młodszy Emil, który mu towarzyszył w podróży i zwłoki jego przywiózł, pochowali go na cmentarzu w Hietzing w Wiedniu.

Czytając 1 czerwca r. b. z zachwytem szkic przygotowanego na kongres odczytu, cieszyłem się, że mam przed sobą zapowiedź szeregu dzieł niestrudzonego badacza i myśliciela, a znając energię tego młodszego ode mnie o cztery lata człowieka, miałem nadzieję, że rozwinięte w tym odczycie myśli wykona. I szczęśliwym się czułem, że danem mi jeszcze było poznać ten program nowej seryi dzieł socyologicznych, których całkowitej publikacyi doczekać się nie miałem chyba już nadziei. Ani mi się śniło, że czytam śpiew łabędzi młodszego towarzysza boju, testament naukowy wielkiego myśliciela. Tak jednak się stało! Zawcześnie dla nauki zgasł— ale światło przez niego rozniecone nie przeminie, dopóki będą na świecie ludzie, którzy prawdę naukową przekładają nad marny interes doczesny!

Prof. Ludwik Gumplowicz.

LITERATURA I SZTUKA.

AD ASTRA.

Orzeszkowa nie należy do grona najpopularniejszych pisarzów śród czytelników młodego i najmłodszego pokolenia. W powieściach jej łatwo się doszukać niejednej myśli pięknej i podniosłej, łatwo natrafić na bogate skarby uczucia, na łzy czyste, przelane nad kurhanami niezisczonych marzeń, na dobroć i prostotę, na współczucie z niedolą i cierpieniem maluczkich. Jeżeli jednak w utworach z zakresu literatury pięknej szuka się przedewszystkiem odbicia własnej duszy, to rzecz bardzo wątpliwa, czy człowiek dzisiejszy znajdzie ją w powieściach Orzeszkowej. Twórczość wielkiej pisarki — to niewysychające źródło dobroci. Jak przed laty dwudziestu, tak i dziś bije ono złotymi strumieniami ukochania wszystkiego, co szczytne i piękne, szumi tą samą melodyą, wchłoniętych przez siebie skarg i łez ludzkich, rozpływa się w akordach głębokich, serdecznych i ciepłych. Ale szamotania się i krwawienia ran własnych, ale obłędnego szukania samego siebie i świadomego błąkania się po bezdrożach, ale tego przeraźliwego „krzyku po nocy,“ tego bólu, który zrósł się z duszą człowieka współczesnego i stał się jej częścią składową, tego wszystkiego nie znajdziemy w utworach autorki „Iskier.“ Myśli jej nie znają nagłych skrętów, niespodziewanych zwrotów i zboczeń, nie napotykają piętrzących się przeszkód: płyną spokojnie, przejrzyście i pewnie a śmiało zmierzają do nakreślonego im celu. Szczerość, zdrowie i prostota obok dobroci i zrównoważenia moralnego — oto cechy utworów Orzeszkowej. Jeżeli jednak ludzie (może właśnie dla tych przymiotów) odtwarzani dotychczas przez autorkę „Anastazyi“, wywierali wrażenie takich, których spotykało się wczoraj, a których dzień dzisiejszy coraz rzadziej wysuwa na widownie, to o naczelnych postaciach w „Ad astra“ trudno powiedzieć to samo. A więc nowy zwrot w twórczości znakomitej pisarki? Nie wierzę w „nowe zwroty“, jeżeli te następują po napisaniu kilkudziesięciu tomów i wogóle nie wiem, co wyrażają te słowa, jeżeli nie oznaczają dalszego rozwoju autora i wchłonięcia przez nie go nowych, a raczej nieuwzględnianych dotąd pierwiastków.

Czy czemś podobnem odznacza się ostatni utwór Orzeszkowej?

Nie można w dwóch słowach odpowiedzieć na to pytanie. Obok jej nazwiska figuruje jeszcze inne, nic niemówiące, bo po raz pierwszy spotkane. Kto jest p. Juliusz Romski? Czy to nie mistyfikacya?.. Czy nie wystarczyłoby samo nazwisko Orzeszkowej? Odpowiedź nastręcza niejakie trudności, bo p. Romski umiał się dostroić do podniosłego tonu Orzeszkowej, śmiało podjął rzuconą mu rękawicę i na ciosy odpowiedział ciosami. Broń nie zadrżała w ręku nowicyusza. Pan Romski włada piórem umiejętnie i wprawnie, a to szczegół, który mimowoli każe się zastanowić. W dodatku ten „dwugłos“ — mniejsza o to, świadomie, czy nieświadomie, z wiedzą, czy też bez wiedzy autorów — jest dobrze zbudowany, w tem znaczeniu, że części przystosowane są do całości, akcya, przeniesiona na wewnątrz, rozwija się stopniowo i konsekwetnie, a wszystko razem sprawia wrażenie stosowania się autorów do planu, z góry powziętego. Ta jednolitość może być całkiem przypadkowa, ale równie dobrze może być uplanowana przez dwóch, jak przez jednego autora. Jednakże mimo trudności, które nastręcza rozwiązanie postawionego pytania, trudności, powiększone tem jeszcze, że u obojga autorów spotykamy podobieństwo zwrotów, a nawet te same wyrażenia, mimo to wszystko, niepodobna przypuścić, aby *Ad astra* było dziełem tylko Orzeszkowej. Bo jeżeli pominiemy odrębność stylu, formy, sposobu wyrażania się, słowem, odrębność wszystkich cech zewnętrznych, na którą autorka tej miary, co Orzeszkowa mogłaby się zdobyć, to pozostanie jeszcze różnica wewnętrzna, pozostaną jeszcze te pierwiastki, o których wspomniałem, a których dotąd nie spotkaliśmy w utworach Orzeszkowej.

Treść „dwugłosu“ wypełnia wymiana listowna zdań pomiędzy nim a nią. Ona — „dzika“ mieszkanka Puszczy Białowieskiej, on — ptak wędrowny, w dzieciństwie oderwany od kraju ojczystego, wolne od pracy chwile spędzający śród Alp. Ona przedstawia uczucie, on — rozum. Ale w niej pod osłoną uczucia chowa się myśl bujna i lotna, nieobawiająca się bezmiarów i śmiało dążąca ku wyżom, a on pod tarczą uczoności kryje serce wrażliwe i piękne. Przypadek wywołał wymianę myśli pomiędzy dwojgiem tych ludzi, obcych sobie, nieznanych i dalekich. I oto pomiędzy Alpami a Puszczą zadzierzga się nić serdeczna. Myślom, zrodzonym w samotnych dumaniach przy wsłuchiwaniu się w szemranie

Lasy, odpowiada echo ze śnieżnych szczytów błękitnej Jungfrau. Zapachniała Puszcza, zakwitła kobiercem kwiatów tęczowych, napełniła się tysiącem głosów, zadrżała od głębokiego westchnienia dębów i przeciągłych szmerów sosen-olbrzymek; błysnęły czarne tafle jezior, zapłonęły drzewa w purpurze zorzy wieczornej, rozległy się szelesty, łkania, płacze, i hen, gdzieś w uroczysku dalekiem, pełnem dziwów i tajemnic, rozgrzmiał potężny ryk żubra. A jednocześnie ze skarbami puszczy otworzyła się koncha uczuć i sznurem perłowym posypały się drogie klejnoty. Upadły na tarczę chłodnego rozumowania i odbiły się od niej bez dźwięku, ale ślad został. On nie poddał się odrazu. Urokom Puszczy przeciwstawił czar olbrzymich Alp, tętniących dźwięczną orkiestrą tysiącznych kaskad i strumieni, srebrne wody Aaru, donośny gruchot lawin, toczących się w przepaść i lodowcowy łańcuch ośnieżonych koron, dumnie strzelających w niebo; jej podróżom gwiezdnym na skrzydłach uczucia — lot śmiały i hardc, nieustraszone spojrzenie orła w płonące słońce prawdy.

Tak zaczęła się walka, długa i trudna, a tem ciekawsza, że nie toczy się tylko pomiędzy dwiema postaciami z powieści, lecz jest zarazem walką dwóch autorów. Słowa nie krzyżują się wprawdzie, jak szpady, nie sypią się błyskotliwe iskry dowcipu, ani pieni się humor, lecz coraz szerzej otwierają się głębie uczuć, coraz dalej i wyżej myśl sięga. Walczą i łamią się dwie dusze. Ona pod jego wpływem zaczyna się wahać, a w duszy jego pod urokiem jej głosu odradzają się purpurowe kwiaty uczuć i pragnień. Lecz tu wpływ zobopólny zamiast zbliżyć, oddala ich od siebie. Nić, przypadkowo zadzierzgnięta, pękła, wydając dźwięk smutny, bolesny. Ona pozostała w Puszczy, on poszedł dalej i w wędrówce ku słońcu stanął wreszcie na szczytach. Stanął, obejrzał się wokoło, lecz zamiast słońca dostrzegł otchłań zawrotną. Runąć w przepaść i skończyć ze sobą — to wszystko, co mu pozostało. A jednak nie skończył. W chwili najwyższej rozterki, graniczącej z obłędem, doleciał go niespodziewanie głos z Puszczy: powracaj! Zadrżał, zatrząsł się i... wrócił.

W tym okrzyku na widok człowieka, stojącego nad przepaścią, maluje się cała Orzeszkowa ze swoją dobrocią i wrażliwością na cierpienia ludzkie. Odwrót wobec potęgi wołania stał się koniecznością. Zrozumiał to współautor i dobrowolnie broń złożył. W ten sposób Orzeszkowa ujęła pod koniec ster i doprowadziła „dwugłos" do końca, zamykając dzieło harmonijnym akordem. Jest to niewątpliwie zwycięztwo. Ale wahania, którym uległa mieszkanka Puszczy, piolun goryczy i ciemne chmury zwątpienia, niejednokrotnie zasępiające jej czoło w czasie tej walki — to tryumf p. Romskiego, chwilowy wprawdzie, ale poważny, a więc zasługujący na podkreślenie.

To, co w „Ad astra" jest ciepłem i pogodą, miłością, dobrocią i żalem serdecznym, należy do Orzeszkowej; błądzenie i szukanie, rozpaczna wędrówka po wyżynach myśli i pociągnięcie na te wyżyny współautorki — to zasługa p. Romskiego. Lecz nietylko myśli i uczucia rywalizują z sobą w tym niezwykłym i oryginalnym utworze. Do walki stanęła jeszcze natura. Z jednej strony Alpy, z drugiej — Puszcza. I z Puszczy i z Alp wydobyli pisarze sporo obrazów pięknych, na długo wrażających się w pamięć, ale bodaj, że Alpy źle wyszły na tej rywalizacyi. W odtwarzaniu ich czuć czasem wysiłek, jak gdyby chęć zaćmienia swego przeciwnika, chociażby tylko samem nagromadzeniem słów barwnych i pięknych, od których zresztą skrzy się cała książka.

Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają mi na szczegółowe zestawienie i wyodrębnienie dwóch talentów, które stworzyły tę zajmującą pracę, zaznaczę tylko na zakończenie, że Orzeszkowa pozostała sobą. A p. Romski? Złożył broń, ale kto wie, czy ten akt nie był dla niego niespodzianką. Poddał się — to prawda, ale czy został przekonany? Czy podpisałby się pod ostatniemi kartami „dwugłosu"?

Rzecz wątpliwa.

Artur Śliwiński.

Emil Gallé.

W Nancy zmarł w tych czasach jeden z najwybitniejszych i najbardziej twórczych przedstawicieli współczesnej sztuki stosowanej we Francyi — Emil Gallé, wysoko ceniony i po za granicami swojej ojczyzny.

Urodzony w 1846 r. w Nancy, gdzie ojciec jego uprawiał ceramikę, był on talentem bardzo różnostronnym i uwydatnił się w kilku dziedzinach zdobnictwa artystycznego; powodzeniem cieszyły się wykonane według jego pomysłów meble ozdobne, a zwłaszcza zastosowane do tych ostatnich, piękne mozaiki drzewne, tak zwana „marguetrie." Sławę swą jednak zawdzięczał on wyłącznie prawie niezrównanym wyrobom ze szkła, dla których przy pomocy licznych udoskonaleń technicznych i połączeń chemicznych nowe, arcybogate odkrył efekty.

Wazony Gallé'go ze szkła różno kolorowego, udekorowane motywami ze świata roślinnego lub zwierzęcego i będące zawsze unikatami, odznaczają się rzadką pięknością i szlachetnością formy, a głównie celują niewysłowionym czarem kolorytu, przepychem zabarwień subtelnych. W tych delikatnych utworach umiał ten artysta być prawdziwym poetą; w symfoniach z barwnego szkła potrafił uzmysłowić głęboko odczute nastroje, zbliżone do akordów muzycznych, i wywołać wrażenia tęsknoty, radosnego wesela lub lśniących drogiemi kamieniami widziadeł sennych. Wazony te znalazły miejscej w najprzedniejszych zbiorach i muzeach europejskich. W tego rodzaju wyrobach miał Emil Gallé współzawodnika tylko w Amerykaninie L. Tiffany, choć szkła tego ostatniego odmienny noszą charakter i mniej w sobie mają pierwiastku twórczego. Gallé był jednym z głównych i najbardziej czynnych członków tak zwanej „Ecole de Nancy," zjawiska dość niepowszedniego w życiu artystycznem Francyi, gdzie naogół biorąc panuje ta sama centralizacya, co w sferze polityczno-społecznej. Jedynie w starej stolicy Lotaryngii, sławiącej się wielką przeszłością artystyczną, przed kilkunastu laty grono młodych talentów złączyło się w wspólnem dążeniu do odnawiania i odradzania wszystkich gałęzi sztuki stosowanej na podstawie dawnych, rodzimych tradycyi zdobniczych. Jak wiadomo w Nancy za czasów Stanisława Leszczyńskiego rękodzielnictwo i przemysł artystyczny w kwitnącym znajdowały się stanie, a fabrykacya szkieł dekoracyjnych, zwłaszcza znakomitych witraży lotaryngskich, aż XVI sięga stulecia. Istniała tu więc dawna, swojska kultura estetyczna, coprawda podupadła, lecz niezupełnie martwa, a owe kółko Lotaryngczyków zdołało ją znowu do życia przywołać, korzystając z dziedzictwa rozwiniętej techniki i bogatego skarbca ornamentyki rodzinnej. Gallé był duszą i mistrzem tej „szkoły," do której teraz należy dość pokaźna liczba artystów, na różnych polach sztuki stosowanej pracujących. Między innymi, wymienię tu należy Majorelle'a, Gruber'a i Fridrich'a, znanych z mebli w odrębnym guście, rzeźbiarza Prouvé introligatora R. Wiener,a i fabrykantów szkła, braci Daum.

Był więc Gallé nietylko wielkim i oryginalnym twórcą, lecz i kierownikiem całego pokolenia współczesnych artystów rodzinnej Lotaryngii, a w dalszym ciągu całej Francyi.

P. Ettinger.

NOWE KSIĄŻKI

— Dr. Szymon Rundstein: **Studya i szkice prawne**, str. 235. Lwów.

Autor związał kilka rozprawek, między któremi ogólną uwagę zająć mogą: o etycznie obojętnych przepisach prawa, luki w prawie, kwestya mieszkaniowa a prawodawstwo społeczne, granica autonomii prywatnej. Sam autor tak je ocenia: „Są to zarysy wstępne i przedwstępne, szkice oryentacyjne, zapoznające z zasadami zagadnień, któremi wiedza prawna wobec nowoczesnych przemian społecznych zająć się winna. Prawnikom z zawodu przysłużą się być może: wskazują bowiem istotę niektórych zagadnień nowoczesnych, regestrują — że tak powiem — postępy wiedzy, zaznaczają etapy zdobyte i pozycye do wzięcia... Lecz nie to głównie miałem na celu: chciałbym, by szkice niniejsze czytelników w kołach szerszych, niefachowych znalazły."

— Jan Tur: **Potwory w średniowieczu**, str. 18. Warszawa.

„Dziwne zjawiska „wypaczenia" ustrojów żywych oddawna zwracały na siebie uwagę nietylko przyrodników i myślicieli, lecz i szerokich mas ludowych," garnących się zawsze do tego co niezwykłe, nadzwyczajne — upatrujących w tem cech cudowności. Z tej skłonności umiała po wsze wieki korzystać mądrość kapłanów — mówi autor i przytacza cały szereg faktów, zaczerpnięty z dziejów ludzkości wszystkich epok i świadczących, do jakiego stopnia umysł ludzki opanowany był wiarą w wpływy nadprzyrodzone, wywołujące spotwornienie kształtów normalnych. Kończy zaś: „Dziś dla biologa, mówiąc właściwie, potwory nie istnieją: widzi on tylko organizmy tworzące się *rozmaicie* w zależności od różnych czynników i wpływów, które zbadać, a nawet czasem i zmierzyć możemy. Granica pomiędzy „normalnem" a „potwornem" zaciera się w jego oczach, jako przeprowadzona sztucznie. A w poznawaniu istot rzekomo „potwornych" znajduje on klucz do wytłomaczenia i zrozumienia praw, kierujących rozwojem „normalnym." Tak nauka i w tym przypadku, jak i we wszystkich innych, wprowadzając myśl badawczą i swe metody ścisłe do dziedzin, które dawniej budziły zabobon tylko, strach i obłęd przed tajniami pozazmysłowemi, przeprowadza swe wiekuiste hasło: *poznanie i wytłomaczenie zjawisk*, a w miejsce stosów i gromnic średniowiecza zapala swoje, może mniej jaskrawe, lecz zato wiecznie i trwale płonące światło."

— Michał Tyszkiewicz: **Idea demokratyczna i jej krytycy w Rzeczypospolitej**, str. 180.

Myśl tej książki wyraża się dokładnie nadpisem na karcie tytułowej ze Skargi: „To najszkodliwsze, iż moc sobie tak wielką poczytują, którą królewskiey i senatorskiey przeszkody czynią, a monarchię chwalebną i ludziom zbawienną, iako się rzekło w demokracyą, która jest w rządach ludzkich naygorsza i najszkodliwsza i tu w tem Królestwie tak szerokiem niepodobna, obracaią. To jest iż chcą, aby szlachta abo lud pospolity przez posły swe rządziła a bez nich Król z Radą swoią nic nie czynił, a na ich konkluzye patrzył. Czem się wszystka natura tey Korony zmienić i zatem zginąć musi." (Kazania sejmowe, 106).

Zarówno wypadki, jak ludzi objętych dążeniem do bezwzględnej wolności i rozwoju w dawnej Rzeczypospolitej polskiej, piętnuje autor odpowiedzialnością za późniejsze tragiczne

losy narodu. Oto parę jego sądów szczegółowych:

„Czemu bohaterowi tego gminu, Kilińskiemu, przyszła nieszczęsna myśl pisania swych pamiętników, a zwłaszcza tej drugiej części, której wydanie niedawno uczyniło pewne zamieszanie wśród czcicieli tego niemal narodowego bohatera. Biedny ich autor odarł siebie z wszelkiego, jaki mógł mieć uroku, dał nam przytem obraz ciekawych tych chwil koszlawy i bez żadnej wartości historycznej, gdyż na każdym kroku spostrzegamy, że komponuje, przechwala się. Niestworzone prawi rzeczy o swej rozmowie z Igelströmem, o ucieczce króla Wisłą, o „trzech czułych parobkach“ itd. Indagacye i żartobliwe odpowiedzi skazanych świadczą, że miał humor dobry i wyobraźnię. Ci skazańcy rozmawiają u niego i weselą się pod szubienicą, jak lalki z szopki warszawskiej. A mógł nam tyle ważnych rzeczy powiedzieć, gdyby nie kłamał jak najęty.“

„Rewolucya warszawska 1794 r. to nędzne „intermezzo“ w wielkiej tragedyi chwil ostatnich — wtargnięcie ulicy, bezmyślnych, ciemnych nieodpowiedzialnych żywiołów na teatrum historyczne, krótka a krwawa gospodarka politycznych szalbierzy, zakończona haniebną ucieczką głównego aktora— miała bezwiednie znaczenie nieobliczalne i wszechświatowe. Nie otrzymawszy żadnego poparcia od Francyi, powstanie warszawskie samo oddało jej olbrzymią usługę. Wiadomość o niem powstrzymała atak 140,000 ludzi armii koalicyjnej, a Franciszek II i Fryderyk Wilhelm zwrócili się ku Polsce. Z drugiej strony, pomimo iż jakobini francuscy wymawiali Polakom, że „nie pojmują wszechwładztwa ludu i nie zdołają wywołać zaburzeń w Rosyi,“ teroryści nasi przygotowali broszury podburzające, które miano rozrzucać na granicy rosyjskiej. Kanclerz hr. Bezborodko poufnie tłomaczył istotne motywa rozbioru Polski w liście z d. 25 lipca 1794 r. do ks. Repnina. Rzeczywistą przyczyną ostatniego rozbioru była obawa jakobinizmu, niepłonna zresztą, o czem mogła świadczyć sprawa Nowikowa. Rewolucya bezwiednie zadała ostatni cios Rzeczypospolitej, jak ślepe „fatum“ starożytnych.—Platon powiada, że państwu demokratycznemu dość najlichszego powodu, aby stało się pastwą wewnętrznych zamieszek lub sprowadzonych przez przeciwne partye sąsiadów, ażeby je o ziemię powalić. Jeżeli zdania tego nie możemy zastosować dziś do tak potężnej demokratycznej organizacyi — jaką widzimy w Stanach Zjednoczonych, stojących zresztą bardziej dzielnością rasy, niż doskonałością instytucyj — przychodzi ona na pamięć, gdy zwrócimy się myślą do Rzeczypospolitej polskiej, noszącej wszelkie znamienne cechy Rzeczypospolitej demokratycznej starożytnych.“

— Henryk Konic: **Dzieje prawa małżeńskiego w Królestwie Polskiem**, str. 295.

„Trzy sejmy Królestwa, 1818, 1825 i 1830 r. — mówi autor — obradowały nad zmianami, jakie w prawodawstwie matrymonialnem przeprowadzić usiłowano. Trzykrotnie przedstawiciele narodu starali się zająć stanowisko wobec władzy wykonawczej niezależne. Lecz jeśli pozornie była to walka między parlamentem a rządem, w istocie rzeczy szło tu o opór zasadniczy, prowadzony przez dwa obozy samego społeczeństwa. Gdy jeden pragnął nadać małżeństwu charakter religijny wyłącznie, usunąć władzę cywilną od wszelkiego udziału i wpływu w dziedzinie matrymonialnej— drugi sprzeciwiał się takiemu wyodrębnieniu instytucyi małżeństwa. Słowem, dzieje tej walki ujawniają spór o podstawy ustroju rodzinnego.“

„Od r. 1818 duchowieństwo katolickie, a nawet niekatolickie dążyło do zapewnienia sobie hegemonii w sprawach matrymonialnych. Potrzeba było lat 18, a właściwie 14, wobec ogłoszenia prawa zasadniczego w r. 1832, do przeprowadzenia życzeń i zamiarów episkopatu polskiego. Nic kusimy się o wydanie sądu, czy słuszne były jego argumenty na kanonach oparte. Natomiast podkreślamy, że choć prawo z 1836 r. ogłoszono wbrew życzeniom reprezentacyi narodowej z r. 1815, 1825 i 1830, było ono koniecznością prawodawczą, logiczną konsekwencyą rozporządzeń kodeksowych z r. 1825.— Skoro prawodawca uczynił z małżeństwa instytucyę religijną, skoro uznał, że nie może ono oprzeć się wyłącznie na gruncie cywilno-prawnym, to z konieczności musiał iść w ślad za głosami duchowieństwa i oddać jurysdykcyę matrymonialną kościołowi. Prawdziwe słowa posła Krysińskiego, wywołane na sejmie r. 1818, jak najoczywiściej wykazywały niemożność godzenia wymagań prawnych z kanonami. Dlatego też wraz z większością sejmową był on przeciwny zmianie kodeksu Napoleona. W r. 1825 stało się inaczej, a ta połowiczność, którą wprowadzono, musiała być zapowiedzią niechybnych zmian, urzeczywistnionych dopiero w 1836 r.“

POEZYE

ŚRÓD GWIAZD.

Być może, gwiazdy, waszych stad kurzawa
Gna — niewolnica tegoż co ja — prawa.
A jednak dość mi oczy do was wznieść,
By w złotej księdze czytać inną treść.

Dla nędzy ziemskiej dziwne i zbyteczne,
Jak władcy wschodu—w dyamentach wieczne—
Zlewacie ku mnie złotej pieśni szmer:
„Otośmy—wieczność! Ty—gra nikłych skier.

Niemasz nam liczby. Próżno myśl twa chciwa
Cienie z pradawnej tajemnicy zrywa:
Płoniemy tutaj, by w twój mroczny byt
Wiecznego dnia przenikał złoty świt.

Dlatego, kiedy tobie żyć tak trudno,
Z taką rozkoszą wznosisz oczu brzask
Z oblicza ziemi, gdzie nędznie i nudno,
Ku naszej głębi, gdzie przepych i blask.“

Mamert Wikszemski.

NA MARGINESIE.

Fotografia barwna stała się już podobno zagadnieniem rozwiązanem. Uczony niemiecki, dr. Koenig z Höchst, miał oświadczyć na kongresie naukowym w Wrocławiu, że posiadł umiejętność fotografowania z zachowaniem wszystkich barw i ich odcieni. Osiągnąć się to daje w sposób niezmiernie prosty, dostępny dla każdego i nieprzenoszący w koszcie wydatku na zwykłą fotografię. Aparat oddaje najdokładniej wszystkie barwy ubrania, klejnotów, materyj itp. Dr. Koenig obiecał przedstawić kongresowi objaśnienie techniczne swego wynalazku, którego szczegóły wzbudzają ogólne zaciekawienie. Wiadomo, że już od lat wielu czynione są próby fotografowania barwnego, czy i o ile dr. Koenigowi udało się prześcignąć w udoskonaleniu pomysłu swych poprzedników, dowiemy się zapewne wkrótce.

Nową materyę wybuchową wynalazł hrabia Smolianow, który umarł niedawno w Washingtonie. Nazwał on ją *cerbérite*. Jest to ciało tego samego składu, co dynamit, z dodatkiem dwu olejów mineralnych do nitrogliceryny, przed wylaniem jej na materyę pochłaniającą. Te oleje posiadają własność znieczulania materyi do tego stopnia, że ta nie wybucha pod wpływem wstrząśnienia mechanicznego. Nie podlega również działaniu temperatur skrajnych. Oleje, wchodzące w skład cerbérite znane są tylko wynalazcy: one materyę wybuchową przeistaczają w ciało palne. Wybuch może wywołać tylko pewne, specyalnie określone uderzenie w połączeniu z elektrycznością.

Nowe metale i minerały wciąż nam przybywają. Niedawno Francuz, Albert Nodin, zapoznał nas z nodium, pod wielu względami przypominającem aluminium, tylko lżejszem od niego. Ma ono barwę i połysk stali i prawdopodobnie będzie używane, jako przewodnik elektryczności. Zostanie też pewnie zastosowane przy budowie wagonów i okrętów. Teraz znowu profesor Dunstan, któremu poruczono poszukiwania mineralogiczne na wyspie Cejlon, znalazł w płuczkarniach drogich kamieni w okolicach Balangody, w prowincyi Sabaragumowa, małe kryształki czarne, które nazwał torianitami, gdyż analiza chemiczna wykazała obecność w ich składzie znacznej ilości toru. To nowe ciało jest promieniującem i prawdopodobnie wydzielającem helium. W tychże samych płuczkarniach, w Balangoda, znaleziono jeszcze jeden minerał, również zawierający thorium, którego zastosowanie w niektórych gałęziach przemysłu tak bardzo wzrasta, że i te dwa nowe odkrycia nabierają wskutek tego poważniejszego znaczenia.

— Lekarze amerykańscy wpadli podobno na pomysł leczenia chorób żołądkowych zapomocą śmiechu. Nie ma to być jednak lekki ruch ustami, rozjaśniający twarz całą, lecz grymas specyalnie ułożony, który chory obowiązany jest wykonywać przez kilka dni. Utrzymują, że niema choroby żołądka, którąby się tej kuracyi oprzeć mogła. Ten oryginalny pomysł znalazł już zwolenników; powstał nawet zakład, gdzie około pięćdziesięciu chorych śmieje się już od rana do nocy.

— W Neapolu profesor Konstanty Gregory prowadzi doświadczenia, mające na celu przywracanie kwiatom i liściom zwiędłym wyglądu świeżości naturalnej. Jakich środków chemicznych do tego używa, pozostaje dotąd jego tajemnicą, rezultaty są jednak takie, że Instytut jednogłośnie przyznał mu za nie medal srebrny. Wynalazek, stosowany dziś wyłącznie do begonii, profesor ma nadzieję rozszerzyć na wiele innych roślin.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. *Warsz. Dn.* donosi, że rada państwa uznała wprowadzenie reformy rządów gubernialnych za możliwe tylko w guberniach środkowych państwa, albowiem rada gubernij Królestwa Polskiego, Kaukazu i obwodów Stepowych, rządzonych na zasadach specyalnych, skutkiem czysto miejscowych warunków w pierwszych ze wskazanych guberniach i niedostatecznego ugruntowania się zasad państwowości w drugich, — nie przedstawia jeszcze dostatecznie przygotowanego terenu do przeprowadzenia w nich pomyślnie zaprojektowanych reform. Z tego względu zaprowadzenie ich ma się ograniczyć do 49 gubernij, rządzonych według ustawy ogólnej.

— Według *Warsz. Dn.* jedną z głównych przyczyn ogłaszanych licznie upadłości jest wysokie komorne sklepów, które uniemożliwia istnienie wielu interesów.

—Z inicyatywy pewnego włościanina *Rus* rozpoczęła zbieranie składek dobrowolnych na oświatę ludową.

— W Niemczech tworzy się związek izraelski, który będzie się opiekował wychodźcami, udającymi się za morze. Obliczono, że w r. z. wyemigrowało z państwa Rosyjskiego 46,689 Żydów, z Austryi 18,859, a ogółem 76,295 Żydów. Związek ma na celu: 1) zakładanie emigracyjnych biur informacyjnych; 2) udzielanie pomocy materyalnej wychodźcom; 3) rokowanie z towarzystwami żeglugi; 4) wyjednywanie praw rządowych, zabezpieczających emigrantów; 5) porozumiewanie się w tych sprawach z instytucyami izraelskiemi we wszystkich krajach; 6) wyszukiwanie nowych krajów do emigracyi. Biuro centralne związku mieścić się będzie w Królewcu. Biura tego związku mają być założone także w Warszawie, Petersburgu i Lwowie. Jednym z celów jego będzie skierowywanie ruchu wy-

chodźczego do Włoch, gdzie jest dotychczas zaledwie 40,000 izraelitów i gdzie wielu rzemieślników i robotników izraelskich mogłoby znaleźć pracę. Zwracana będzie też uwaga na to, żeby emigrujący uczyli się języka tego kraju, dokąd zamierzają się udać: Umyślni agenci będą stale dyżurowali w miastach pogranicznych, portowych i na głównych stacyach kolejowych, służąc wychodźcom radami i wskazówkami.

— Zmarły milioner, L. Brodzki, zapisał 500,000 rb. na następujące instytucye: na Instytut bakteryologiczny w Kijowie, na szpital dziecięcy i szkołę dla izraelitów, dziesięć stypendyów dla uczniów izraelskich gimnazyum w Złotopolu, pod warunkiem, że gdy istniejące tam stypendya rządowe będą przeznaczone dla uczniów bez różnicy wyznania, to i z 10 stypendyów Brodzkiego będą mogli korzystać chrześcianie. Majątek w powiecie Bachmuckim, 2,400 dziesięcin, przeznaczył na kolonię rolniczą dla izraelitów; zajmie ją 56 rodzin, z których każda otrzyma 1,000 rb. na urządzenie; 40,000 rb. na pożyczki dla rzemieślników izraelskich w Kijowie.

Szkoły i wychowanie. W radzie państwa uchwalono dopuszczenie lekarzy do składu rad pedagogicznych seminaryów nauczycielskich i szkół przy nich istniejących, z prawem głosu na równi z nauczycie-[illegible]

— Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora warszawskiego okręgu naukowego, że przepisy o przyjmowaniu słuchaczek do wyższych kursów żeńskich w Petersburgu uzupełniono następującymi szczegółami: procent wolnych słuchaczek pozostaje bez zmiany, liczbę starozakonnych powiększono o 5%, przyczem jednak wolnemi słuchaczkami być one nie mogą.

— Zarząd warszawskiej gminy żydowskiej otworzył kursy wieczorne i sobotnie dla młodzieży rzemieślniczej, na których wykładane będą: język rosyjski, polski, hebrajski i arytmetyka.

— Wydział szkół przemysłowych zawiadamia, że kandydaci, którzy zdali egzamin z kursu gimnazyalnego bez języków starożytnych, nie będą nadal, poczynając od roku szkolnego 1904—1905, przyjmowani do wyższych zakładów naukowych technicznych. Wprowadzenie tej zmiany uznano za konieczne dlatego, że egzamina z kursu gimnazyalnego bez języków starożytnych ustanowione były tylko dla osób, pragnących uzyskać prawa w pełnieniu powinności wojskowej i odbywały się tylko w tych miastach, gdzie niema szkół realnych. Zakres tych egzaminów nie odpowiadał ani kursowi szkół realnych, nie obejmował bowiem nauk przyrodniczych, ani kursowi gimnazyów, albowiem do programu nie wchodziły języki starożytne. Z tej racyi kandydaci, którzy uzyskają świadectwo o zdaniu egzaminu w tym zakresie, nie mogą być zrównani w prawach z kandydatami, którzy ukończyli całkowity kurs gimnazyum, a więc nie mogą też być dopuszczeni do wyższych zakładów naukowych technicznych.

— Ministeryum austryackie postanowiło, aby tylko te abituryentki gimnazyów świeckich przyjmowane były do uniwersytetów jako stałe słuchaczki, który zdały egzamin dojrzałości z odznaczeniem, zaś świadectwa zwyczajne dają prawo tylko do zostania wolną słuchaczką.

— Według wykazu pruskiego ministeryum oświaty młodzież kończącą szkoły średnie, zapisuje się prze-[illegible] wydział prawny, nawet studenci, którzy studyowali już na innych wydziałach, przerzucają się [illegible] natomiast coraz więcej [illegible]ników, teologów i kandydatów do akademii wojskowej.

Zdrowie publiczne. W szkołach kolejowych mają być wprowadzone wykłady hygieny i udzielania pierwszej pomocy lekarskiej.

Literatura i prasa. Odroczony został do d. 1 października 1905 r. konkurs *Gazety sądowej* na monografię prawną z zakresu ustaw robotniczych włościańskich kodeksu polskiego z r. 1836. Nagroda 500 rubli.

— Według *Standarda*, najpoczytniejsze dzienniki francuskie rozchodziły się na początku roku bież. w następującej ilości egzemplarzy: Na pierwszem miejscu stał *Le Petit Parisien* — rozchodzący się w 1,500,000 egzemplarzy, dalej idą: *Petit Journal* — 800,000 egzemplarzy, *Journal* — 750,000, *Matin* — 400,000, *Echo de Paris* — 105,000, *Eclair* — 98,000, *Supplement* — 96,000, *Patrie* — 90,000, — *Petite République* — 72,000, *Presse* i *Automne* — po 70,000, *Intransigeant* i *Libre Parole* — po 66,000, *Action* — 55,000, *Radical* — 48,000, *Lanterne* — 41,000, *Auto* — 40,000, *Temps* — 35,000, *Figaro* — 32,000, *Aurore* — 28,000, *Officiel* — 26,000, *Liberte* i *Soleil* — po 22,000, *Rappel* — 20,000, *Gil Blas* — 10,000, *République* — 9,500, *Soir* — 4,000, *Siècle* — 3,000.

— Pewien Anglik urządził niedawno wywiad po księgarniach i wśród wydawców w celu dowiedzenia się, jakie książki więcej są czytane. Okazuje się, że zapotrzebowanie powieści nie uległo zmniejszeniu, lecz zwiększyła się ilość żądań dzieł poważnych. Z tych ostatnich najpokupniejsze są książki przyrodnicze, poezye zaś nie sprzedają się wcale, chyba że są utworami poetów bardzo znanych.

Sprawy ekonomiczne. *Warsz. Dn.*, pisząc o stanie rynku pieniężnego twierdzi, iż słaba zdolność płatnicza w kołach przemysłowo handlowych miejscowych, a zwłaszcza łódzkich, oddziaływa fatalnie na stan warszawskiego rynku pieniężnego, zaostrzając przezorność, z jaką udzielany jest kredyt nawet najsolidniejszym firmom do granic ostatecznych. Gotówki na rynku dużo, lecz niestety uzyskanie jej jest niezmiernie trudne, dyskonto zaś dla kupców średnich i drobnych zupełnie zamknięte. To nie może nie odbijać się jak najgorzej na zdolności płatniczej kupców, którzy nie mają skąd dostać gotówki. Powstaje *circulus vitiosus*, a ostatecznym wynikiem jest wzrastająca wciąż liczba bankructw.

Telegraf. We Francyi wprowadzono telegraf bez drutu do przesyłania wiadomości statkom, krążącym niedaleko od brzegów, za opłatą 75 cent. za wyraz.

Zmarli. Enrico Panzacchi, wybitny, współczesny poeta włoski, w Bolonii.

OFIARY.

Na powodzian: Dębska z Bielec rb. 1 kop. 50.

Dla głodnych: z Sieprawki rb. 5.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою Варшава, 7 Октября 1904 г.

Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.